

Włoczek
organ
klubu włoczkow
w
Wisnie Nr 2

J. Kruszyński

Komitet redakcyjny:

Józef Batorowicz
Aleksander Chmielewski
Stanisław Hermanowicz
Jan Kruszyński
Kazimierz Leczycki
Teodor Nagurski
Henryk Niewodniczański
Stan. Odlanicki-Poczobut
Wacław Pac-Pomarnacki
Tadeusz Rymkiewicz
Witold Sylwanowicz
Eugenjusz Skorko
Stanisław Swianiewicz
Seweryn Wysłouch
Henryk Zabielski
Kazimierz Zwierko

Spis rzeczy.

Wszepochężny centralizm i biurokracja — *Dr. S. Wysłouch*.
Wilno — synonim Litwy historycznej — *H. Zabielski*. Królewiec,
Kłajpeda czy Lipawa? — *T. Nagurski*. Rzemieślnik — *S. Hermanowicz*.
O rewizję światopoglądu polaków zagranicznych — *K. Leczycki*.
Fotografika wileńska — *J. Kruszyński*. Selekcja młodzieży
akademickiej, a opłaty — *W. Wojtkiewicz*. Włóczęga wśród książek.
Włóczęga wśród pism. Włóczęga po mieście. Włóczęga
za literatami. Włóczęga o ideję. Włóczęga borem, lasem, wodą.
Włóczęga między akademikami.

WŁÓCZĘGA Nr 2

Organ Klubu Włóczęgów w Wilnie

LISTOPAD 1932

CENA 50 GR.

Od Redakcji

Numer drugi „Włóczęgi” wychodzi jako pismo samodzielne i nie związane już administracyjnie z wydawnictwem „Kurjer Wileński”. Pozwoliła na to konsolidacja organizacyjna naszego wydawnictwa i oddźwięk, jaki znalazło ono w społeczeństwie. Rozstając się z „Kurjerem Wil.” technicznie — nie ideowo, pozwalamy sobie my, grupa przyjaciół Pana Kazimierza Okulicza złożyć na Jego ręce serdeczne podziękowanie za udzieloną nam przy „Kurjerze” gościnę.

DR. S. WYSŁOUCH

Wszechpotężny centralizm i biurokracja

Wadliwość organizacji dzisiejszej naszej maszyny administracyjnej nie ulega już żadnej wątpliwości. Rozbudowana ponad wszelkie granice, dawno przerosła możliwości finansowe państwa i społeczeństwa. Stąd też prace nad jej reorganizacją przeprowadza Komisja dla Usprawnienia Administracji Publicznej przy Prezesie Rady Ministrów pod przemożnym hasłem oszczędności. W międzyczasie stosowane są wątpliwej wartości (jeśli chodzi o efekt w przyszłości) doraźne środki zaradcze: mechaniczne obcinanie pensyj urzędniczych, oraz redukcje personelu przy zachowaniu dotychczasowej metody pracy w urzędach państwowych i samorządowych.

Zadania w dziele reorganizacji naszej maszyny administracyjnej włożone na Komisję należą do istotnie bardzo ważnych i trudnych. Śmiało rzec można, iż od prac Komisji zależy b. wiele w dziele usuwania bolączek naszego życia administracyjnego i samorządowego. Doniosłość reformy polega zaś na tem, iż musi ona sięgnąć aż do podstaw dzisiejszej struktury administracyjnej państwa.

Zasada bezwzględnej unifikacji, która legła u podstawy naszej maszyny administracyjnej przeobraziła się w daleko idący centralizm i biurokrację, tak bardzo dającą się we znaki całemu społeczeństwu odrodzonej Polski. W świetle dziesięcioletniej praktyki centralizm, jak to słusznie przewidywał prof. Michał Bobrzyński, zbankrutował całkowicie. Nic dziwnego. „Pierwszym warunkiem życia, jest pozostawienie mu, jest stworzenie dla niego form, które rozwojowi jego sił naturalnych nie czynią żadnej tamy, które budzą w ludności zadowolenie i ochotę do działania i pracy. Form takich dostarczyć może tylko samorząd i autonomia prowincji — województw (Bobrzyński M., o zespoleniu dzielnic Rzeczypospolitej).

Wszelkie programy polityki państwowej z zakresu życia społecznego o tyle tylko mogą liczyć na pozytywne wyniki o ile są ściśle związane z rzeczywistością, innemi słowy są syntezą ogólnopństwowych celów z konkretną rzeczywistością miejsca i czasu. U podstawy realnej polityki państwowej winno leżeć: możliwie wszechstronne zbadanie rzeczywistości i dopiero na tem tle konstruowanie programu stopniowo przeobrażającego i dostosowującego życie do ogólnopństwowych celów.

Uwagi powyższe mają szczególniejsze zastosowanie do naszej rzeczywistości państwowej. Trudno bowiem o państwo równie niejednolite pod każdym względem jak Polska. Nic dziwnego. Całkowicie odrębny rozwój poszczególnych dzielnic jeszcze w czasach przedrozbiorowych, spotęgowany przez fakt długotrwałego pozostawiania w granicach państw zaborczych musiał wycisnąć głębokie piętno na strukturze ziem, wchodzących w skład dzisiejszej Rzeczypospolitej.

Od powyższego stanu rzeczy nie uleczy nawet najlepiej teoretycznie skonstruowana norma prawna. Należy nareszcie wyzwolić się z pod sugestii i wiary w bezgraniczną moc dekretu lub ustawy jeśli chodzi o przemiany w zbiorowej psychice społeczeństwa. Ewolucje w tej dziedzinie najczęściej dokonywują się b. powoli, gwałtowne wstrząsy nigdy nie wychodzą społeczeństwu lub państwu na dobre. Stąd też oparte na zasadzie bezwzględnej centralizacji nasze normy ustawodawcze wywołują u ludności powszechne niezrozumienie, niezadowolenie, często drażnią uczucia zwyczaje i tradycje i w ten sposób całkowicie chybają zamierzonego celu.

Nadomiar złego realizację programu centralistycznego w Polsce wzięła w swe ręce udoskonalona w sztywności papierowej biurokracja galicyjsko-austriacka. Ona to w głównej mierze doprowadziła papierowość całego naszego aparatu państwowego do niemożliwych granic. Małostkowy, bezduszny biurokrata z typowym odrabianiem papierkowych „kawałków” to straszliwe memento naszej dzisiejszej rzeczywistości. Jeśli do tego dodamy rosnący coraz bardziej etatyzm — widoki rozwoju państwa i społeczeństwa przedstawiają się bardzo smutnie.

To też całkowicie słuszna jest opinia Komisji dla Usprawnienia Administracji iż: „dziesięcioletnie doświadczenie ustawodawstwa państwa Polskiego wykazało, iż lekceważenie zasadniczych różnic tkwiących w terytorjalnej organizacji administracji poszczególnych dzielnic przynosiło najfatalniejsze rezultaty”. W żadnej jednak dziedzinie owe rezultaty nie są równie fatalne jak w dziedzinie naszego życia samorządowego. Bowiem żadna instytucja publiczna nie stoi tak blisko rzeczywistego życia i jego potrzeb jak samorząd. Stąd też zasadnicza sprzeczność mię-

dzy teoretycznie zbudowaną normą prawną, a życiem najsilniej daje się we znaki właśnie na tle instytucji samorządu wiejskiego. Wsi kresowej litewsko-białoruskiej w szczególności.

Unikając zarzutu gołosłowności powołałam się tu na doskonałą charakterystykę stosunków panujących w samorządzie wiejskim na naszych ziemiach, którą dał b. marszałek Seimu Wileńskiego dyr. Antoni Łokuclewski w referacie na zjeździe gospodarczym w Oszmianie w dn. 11/X 1931 r.:

„Dobrze pomyślany i zasadniczo dobry aparat wykonawczy gminy (wójt i pisarz) musiano zwiększyć o 3 do 5 pracowników kancelaryjnych, którzy normalnie pracują 12 godzin na dobę i podolać pracy nie mogą. Dzisiejszy aparat wykonawczy gminy — to żywe maszyny piśmiennej biurokracji papierowej, regulujące życie i pomyślność spraw poruczonych i zleconych samorządowi wiejskiemu. Statystyki i rejestry własne, ewidencja koni, bydła, pojazdów, gruntów, ewidencja wojskowa, wymiar i egzekutywa podatków własnych i poruczonych przez państwo, ściąganie składek asekuracyjnych, księgi meldunkowe, spis ludności i wiele innych — to rzeczy bardzo ważne dla ministerstw: Rolnictwa, Spraw Wojskowych, Spraw Wewnętrznych, Skarbu, ale dzieje się to wszystko własnym kosztem gminy...

Sypią się ponaglenia i rozkazy... Żywe regulatory, wykonawcy, liczą, myślą się, piszą i piszą... aż pot kroplami im zrosi czoła! Nic tedy dziwnego, że wydatki na materiały pisarskie, księgi, druki, papier, dochodzą w ostatnim roku przeciętnie do 2000 zł. rocznie na gminę, czyli, dla powiatu przeszło 20000 zł.

Taką daninę płaci samorząd nasz na rzecz zakresu poruczonej pracy!

Achiwa gminne przepełnione są papierem. Gminy przewidują w bliskiej przyszłości brak stychów na złożenie zapisanego papieru, względnie możliwość nieszczęścia? Przerost zakresu poruczonej pracy prowadzi do zaniku inicjatywy własnej samorządu, bo nerwy normalnego człowieka nie wytrzymują tej morderczy piśmiennej na dłuższy dystans czasu. Przy tem przeciążeniu trudno uważać za miarodajne statystyki, opracowane przez mało piśmiennych sołtysów — tych nieszczęśliwych urzędników gminnych. Statystyka rolna gmin, przysłana do starostwa, ważyła 100 klg.

Jaki urzędnik może spokojnie sprawdzić i skorygować statystykę naszych sołtysów?! Do ministerstwa poszły mechaniczne zestawienia ozdobione tego rodzaju kwiatkami jak 20 ha buraków cukrowych, 60 ha jęczmienia ozimego“ i innemi. Nic dziwnego, że księgarnie w Oszmianie opierają swój byt na handlu papierem, a nie na sprzedaży książek (z rolniczych książek nie znajdzie się tam ani jednej)“.

Słusznie autor dochodzi do wniosku: „Jeżeli nie nastąpi opamiętanie się, to kolos samorządu naszego pod ciężarem zakresu poruczonego, nieprodukcyjnie pochłaniającego zasoby i siły ludności, zawali się z loskotem... Świeżego, zdrowego powietrza należy jak najprędzej wpuścić w płuca chorego samorządu naszego! Uchwalenie przez Sejm i Senat nowej ustawy samorządowej, dostosowanej do potrzeb i warunków województw wschodnich — jest to zagadnienie, którego rozwiązania wszyscy, jak zbawienia oczekują“.

W świetle przytoczonego powyżej świadectwa człowieka świetnie zorientowanego w stosunkach samorządowych na naszych ziemiach pytamy, w jaki sposób samorząd gminny może spełniać swe lokalne zadania do czego przedewszystkiem jest powołany?

Organizacja naszego życia samorządowego jest jaskrawym przykładem do jakiego nonsensu dochodzą normy ustawodawcze, ignorujące rzeczywistość o imię papierowej abstrakcji. A wszak tego rodzaju przykładów moglibyśmy przytoczyć całe mnóstwo.

Wydaje się czasami, z obserwacji naszej konkretnej rzeczywistości, iż żyjemy w świecie logicznych nonsensów robionych celowo, ze złośliwą chęcią kompromitowania młodego organizmu państwowego Polski. Przecież np. każdy zdrowo myślący człowiek zrozumie, iż niesposób jest zadowolnić tą samą ustawą samorządową mieszkańców Pomorza i Polesia lub Wołynia, zaś nasze czynniki ustawodawcze nad tego rodzaju dziwolągami już oddawna pracują.

Streszczając się raz jeszcze powtarzamy, iż tylko gruntowna przebudowa podstaw całego naszego gmachu administracji państwowej, bezwzględne zerwanie z beznadziejnie, biurokratycznie pojętą centralizacją życia państwowego może uratować sytuację i położyć podwaliny pod zdrowy ustrój administracyjny państwa tak bardzo konieczny dla przemęczonego i wyczerpanego społeczeństwa.

HENRYK ZABIELSKI.

Wilno — Synonim Litwy Historycznej

... I może byłoby wszystko w porządku, gdybyśmy się mogli pogodzić z tą, społeczeństwa, że wobec zajętego przez Litwę stanowiska, możliwość rozstrzygnięcia sprawy litewskiej, jest przesądzona uchwałą Sejmu Wileńskiego...

Obserwując życie litewskie, jego objawy i prądy — jego treść wewnętrzną i nastawienie, zapewne niejednemu obserwatorowi, nawet mniej uważnemu, rzuca się w oczy, przysłowiowy w walce o Wilno, upór litewski, fanatyzm, który poprzednio może był sztucznym, ale obecnie nosi już cechę ruchu narodowego.

Jest to swoisty, dla Litwinów dzisiejszych i historycznych rys charakteru, który w wieku XX-tym obrał sobie formę walki o Wilno, wszelkimi sposobami, choćby nawet nosiły one w sobie zarodki mistyki i były najmniej realnymi.

I wszystko, czy to będzie „Związek Wyzwolenia Wilna“, czy „doksztalcanie“ w szkołach litewskich,

czy radjowe „chwilki wileńskie“, czy „wileński fundusz żelazny“, czy jakakolwiek bądź inna akcja społeczno-rządowa, lub poprostu rządowa — wszędzie znamy i widzimy jedno: Wilno, Wilno we wszelkich odmianach, formach i postaciach i jako nieodłączny refren, „polscy zaborcy“, „okupańci“, i cała masa innych, czasami wprost bluźnierczych epitetów pod adresem Polski i Polaków. (dekalog wileński).

Rezultatem tego pomiędzy Polską a Litwą jest typowy stan wyrażający się w słowach; „ani pokój, ani wojna“, mimo dłoni przez Marszałka wyciągniętej w Genewie i jedynego „sukcesu“ z wielu pertraktacji polsko-litewskich: — umowy o małym ruchu granicznym.

Stwierdzając opisany i znany wszystkim, stan rzeczy, pomiędzy Polską a Litwą, chodzi mi o podkreślenie kontrastowo dziwnych metod zachowania się obu stron pokłóconych.

Na Litwie w walce o Wilno bierze udział całe

społeczeństwo. Dzięki umiejętnej i celowo zorganizowanej polityce rządu litewskiego, któremu chodzi o pokreślenie „niesprawiedliwości” dziejowej na terenie międzynarodowym, — do walki o Wilno wprężnięto cały naród, możliwie wszystkie organizacje, niezależnie od roli, charakteru i celu istnienia.

Takie posunięcie Rządu Litewskiego, obliczone jest na to, że da ono w przyszłości Litwie ogromnie ważki atut do ręki, w wypadku jeśli kwestja wileńska kiedykolwiek się znajdzie na forum międzynarodowym, na co Litwa liczy wciąż z niesłabnącą nadzieją...

Jeśli retrospektywnie przejrzymy politykę litewską, stosowaną wobec Polski, to ta celowość postępowania Rządu Litewskiego staje się jeszcze bardziej widoczną.

Przedtem Rządy Litewskie traktowały sprawę wileńską, jako kwestję, którą należy załatwić przy zielonym stoliku, ponieważ nie można było jej załatwić z orężem w ręku. Dowodem tego są próby porczumiewania się — czy to bezpośredniego: Kopenhaga, Londyn, Królewiec, czy też pośredniego — przez Ligę Narodów. Akcja ta dla Litwy nie dała pożądaných skutków.

To też z prawdziwie litewskim uporem wzięto się do nowej metody — przekształcanie sprawy wileńskiej w kwestję bytu lub niebytu całego Państwa. Wilno stało się symbolem jedności narodowej. Wilnem jest podminowana cała Litwa.

* * *

A u nas?

Do roku 1922 i jeszcze jakiś czas potem, cała Polska myślami była z Wilnem. Wilno było modnem miastem w Polsce. Było przecież synonimem Litwy Historycznej.

Uchwała Sejmu Wileńskiego, inkorporująca Wileńszczyznę do Polski, zadowoliła całą Polskę. I gdy wślad zatem nastąpiła decyzja konferencji Ambasadorów, przyznająca Wilno Polsce, z ulgą odetchnięto, radoowano się i ciesiono. Polska osiągnęła swój cel.

Zdawano sobie sprawę, że przez to nie zlikwidowało się „sprawy litewskiej”, że to jest tylko spełnienie życzeń na krótką metę obliczonych, ale za to ważniejszych niż możliwość i chęć uzyskania trwałej zgody z Litwą.

Wilno przestało być synonimem Litwy Historycznej.

I uspokoiło się społeczeństwo polskie. Spoczęło na laurach zwycięstwa, zapominając powoli, że sprawa litewska nie została załatwiona i ubolewając przy tej czy innej okazji, że niema zgody pomiędzy tak bliskimi sobie ongiś narodami.

Czynione próby porozumienia, z chwilą gdy nie osiągnęły swojego celu — zamarły, a osiągnięte poprzednio zwycięstwo przybiło chęć wyszukiwania dalszych dróg wiodących do porozumienia. Bo i po co? Na upór litewski niema lekarstwa, a w Wilnie jesteśmy jedynymi gospodarzami i żadna cudza wola nas stąd nie ruszy.

Wilno przestało być modnem miastem w Polsce, stało się natomiast poważnym kłopotem gospodarczym no i miastem... pamiątek historycznych.

Nic też dziwnego, że sprawa litewska, tak żywo wszystkich obchodząca w 1922 roku, potem przestała społeczeństwo interesować i dzisiaj zajmuje tylko kilka teczek w biurku odpowiedniego urzędnika w M. S. Zagr. w Warszawie oraz umysły niektórych ludzi, którzy jakby organicznie z takim stanem rzeczy nie mogli się pogodzić. Jest to zresztą tylko garstka „wielkolitwinów”, dla których Wilno nie przestało być synonimem Litwy Historycznej.

* * *

Porównajmy teraz stan sprawy wileńskiej na

Litwie i dzisiaj u nas. Minęło 10 lat. Co za odwrotnie proporcjonalne metody działania no i skutki.

Dzień 9 października na Litwie — to dzień żałoby całego Narodu. W Wilnie rocznica 9 października w 1932 roku była czemś niebywale małym, z udziałem nawet nie wszystkich przedstawicieli władz.

Wyrok Trybunału haskiego w sprawie Landdwarów — Koszedary na Litwie był świętem całego Narodu. W Polsce, przypuszczam, że bez względu na treść tego wyroku — cisza; aktualne artykuły w prasie, która przecież musi poruszać „aktualja”, a nie kwestję z przed 100 lat, bo po to jest prasa. Społeczeństwo żadnym odruchem swego zainteresowania w tej sprawie nie objawiło.

To samo przy obchodach Witoldowych. Taka sama ogromna dysproporcja w sposobie i żywiołowości uczczenia już jeśli nie osoby Witolda, to przynajmniej idei Jagiellońskiej. Społeczeństwo, po za grupą ludzi „swobodnej myśli” nie wzięło udziału w tych obchodach. Bo społeczeństwo drzemie na zdobytych laurach.

I taki stan jest we wszystkim, co kiedyś narody Polski i Litewski łączyło. Dziś, wszystko co mogło łączyć — dzieli; co mogło być pomostem porozumienia — jest przepaścią nie do przebycia. Z dniem każdym, z każdą rocznicą jesteśmy coraz dalsi od możliwości porozumienia z narodem, który tak bliskim był nam przed laty.

I może byłoby wszystko w porządku, gdybyśmy się mogli pogodzić z tezą społeczeństwa, że, wobec zajętego przez Litwę stanowiska, możliwość rozstrzygnięcia sprawy litewskiej, jest przesądzona uchwałą Sejmu Wileńskiego.

Dla nas kwestja wileńska i sprawa litewska to nie jest jedno i to samo. — Bowiem sprawa litewska jest wciąż żywą i palącą. Nie skończyła się i nie umarła. Żyje i żyć będzie w tej formie w jakiej ją widzimy i czujemy czytając odezwę wydaną w r. 1919 przez Wodza Naczelnego do narodów ziem b. w. Ks. Litewskiego.

Sprawa litewska jako spór międzynarodowy nie istnieje, ale możliwość prowadzenia z Litwinami rozmów o Wilnie i jego losach dopuszczamy, gdyż chodzi nam o bardziej ważką myśl, którą nazywamy dziś litewską sprawą, a chcemy w przyszłości nazwać porozumieniem polsko-litewskim.

— Dobrze, ale jaką koncepcję konkretną wysuwacie — zapyta niejeden.

— Koncepcji szukamy. Uczciwie studjujemy przeszłość całego zatargu polsko-litewskiego i wszystkie historyczne fakty, które doprowadziły do obecnego stanu Polskę i Litwę.

Szczerze i otwarcie szukamy rozmów z uczciwymi Litwinami, którzy naprawdę i niemniej szczerze Wilna pragną i to w tym celu by móc z tych rozmów stworzyć i wydobyć pewną prawdę, mogącą ze swej strony posłużyć do budowy koncepcji porozumienia.

Mało tego, chcemy obudzić drzemiące w letargu społeczeństwo polskie, by zbudzone zechciało uświadomić sobie, że „sprawa” litewska jest czemś większem niż sprawa Wileńska.

Zdajemy sobie sprawę, jak dalece dzisiaj nie popularna jest w społeczeństwie naszym myśl ta i nasz cel. Wiemy o tem. Tak samo, jak każdy bezstronny obserwator widzi rażącą różnicę w napięciu wszystkich sił narodowych Litwy, dążącej do odzyskania Wilna bezmyślność społeczeństwa polskiego, drzemiącego na laurach rzekomo załatwionej sprawy litewskiej.

Ale dla tego właśnie musimy ruszyć z martwego

punktu sprawę litewską, bo przy dalszym biegu obserwowanych na Litwie i w Polsce, wypadków, może być już na to zapóźno.

Może już trudno będzie odnaleźć przy najlepszej woli stron obu, wspólny język porozumienia.

W konsekwencji skupić chcemy dookoła siebie wszystkich, tak jak my lub podobnie myślących. I to jest nasz cel najbliższy, realizację którego już rozpoczęliśmy i do którego dalej konsekwentnie dążyć będziemy.

Sytuacja polityczna i gospodarcza kraju w latach 1921 — 1923 była fatalna, w r. 1925, bardzo zła, w każdym razie znacznie gorsza, niż obecnie. Mimo tego nie słyszano nigdy tyle jęków, ile w roku pańskim 1932. Dlaczego? Bo społeczeństwo przyzwyczało się do dobrobytu lat 1927 — 1929.

TEODOR NAGURSKI

Królewiec, Kłajpeda czy Lipawa?

Województwa Północno-Wschodnie Rzeczypospolitej: Wileńskie, Nowogródzkie, Białostockie i Poleskie, których rozwój gospodarczy został po wojnie utrudniony głównie przez t. zw. „martwe” granice z Litwą, zaś nawpół martwe z Rosją i Prusami Wschodnimi, — nie mogą się obejść bez dostępu do morza, któryby w dziedzinie handlu skompensował, przynajmniej częściowo, brak stosunków z najbliższymi sąsiadami. Wylot Głynański-Gdański nie zawsze może być wykorzystywany ze względu na zbyt wielką odległość od centrów gospodarczych naszych województw. Należy przeto zastanowić się, który z portów najbardziej geograficznie zbliżonych do naszych województw, mógłby w obecnych warunkach gospodarczych i politycznych służyć jako wylot na morze — czyli na jedyną w dzisiejszych warunkach *wolną drogę* do innych krajów Europy i świata.

Pobieżny nawet rzut oka na mapę tej części Europy wskazuje, że najbliższymi pod względem geograficznym do naszych ziem są 4 porty: Królewiec, Kłajpeda, Lipawa i Ryga. Jednakże ostatni z tych portów — Ryga może odgrywać rolę jedynie portu pomocniczego, gdyż jest pod względem komunikacyjnym dogodny tylko dla północno-wschodniej części województwa wileńskiego. Przeprowadzenie (już dokonane) kolei Woropajewo — Druja, wiąże ważny rzeczny port, jakim jest Druja, z lniarskimi i drzewnymi terenami województwa Wileńskiego. Ze względu na bardzo ograniczone możliwości żeglugi po Dźwinie, obfitującej w liczne „rapy” i mielizny, możliwości większego wykorzystania drogi wodnej do Rygi są problematyczne. Druja będzie służyła natomiast dla handlu z Dynaburgiem i Letgalją, z którą wymiana handlowa i dotychczas była stosunkowo żywa. Dla tych samych ograniczonych celów służy również linia kolejowa Wilno — Turmont — Dynaburg — Ryga.

Zobaczmy teraz który z pozostałych 3-ch portów najbardziej nadaje się jako wylot na morze dla naszych województw.

Królewiec, najbardziej zachodni z 3-ch portów, jest sytuowany na rzece Pregola, w odległości 7 km. od ujścia tej rzeki do północnej części zatoki Fryskiej.

Awanport Królewca stanowi port Piława, leżący na mierzei Fryskiej, przy cieśninie łączącej zatokę Fryską z morzem. Od Piławy do Królewca prowadzi przez zatokę Fryską kanał, stale pogłębiany. Stan techniczny urządzeń portowych Królewca jest dobry. Dzięki posiadaniu awanportu w Piławie — największe nawet statki mogą zawijać do tego portu. Prócz drogi wodnej — Królewiec jest połączony z Piławą linią kolejową. Królewiec stanowi ważny węzeł kolejowy.

Linie kolejowe odchodzą od Królewca w 8 kierunkach.

Dzięki gęstości sieci kolejowej, Królewiec jest połączony z najważniejszymi ośrodkami gospodarczymi. Prus Wschodnich obsługuje cały handel morski tej prowincji, uniemożliwiając, dzięki specjalnej strukturze niemieckich taryf kolejowych, — konkurencję Gdańska i Kłajpedy. Królewiec sięga również po ładunki z poza granic Prus Wschodnich. Szczególnie pod tym względem ważne są linie kolejowe Królewiec — Wierbołowo — Kowno i Królewiec — Grajewo — Białystok. Dzięki 1-ej na Królewiec idzie pewna część towarów z Litwy i na Litwę. Dzięki 2-ej, łączącej Królewiec z tak ważnym węzłem kolejowym, jak Białystok, Królewiec staje się portem naturalnym, bo najbliższym i najdogodniejszym dla całego prawie województwa Białostockiego, dla północnej części wojew. Lubelskiego i dla północno-zachodniej części województwa Poleskiego. Przed wojną Królewiec odbierał z wymienionych terenów poważne ilości towarów, jak drzewo, zboże, len. W ostatnim dziesięciu lat handel ten ustał z powodu wojny celnej polsko-niemieckiej. Skutkiem tego obroty współczesne Królewca nie osiągnęły jeszcze cyfr przedwojennych. Świadczy o ten następujące zestawienie:

Przeładunek towarów wynosił w tysiącach ton w Królewcu.

Rok 1911/13 przeciętnie	1.856	100%
„ 1930	1.840	99%
„ 1931	1.633	88%

Szczególnie jaskrawo wystąpią współczesne niedomagania Królewca, jeśli zestawimy cyfry dotyczące tego portu z cyframi gdańskimi: port ten w 4 razy zwiększył swe obroty w stosunku do przedwojennych. W razie nawiązania stosunków gospodarczych między Niemcami a Polską — Królewiec mógłby obsługiwać nie tylko tereny geograficzne doń ciążące a wymienione wyżej, lecz również pozostałe województwa północno-wschodnie, a więc część Wileńszczyzny i całą Nowogródzycznę. Ewentualność taka nie może być jednakże brana pod uwagę w dobie obecnej ze względu na chronicznie już zły stan stosunków polsko-niemieckich. Nic nie wróży narazie, by te stosunki mogły rychło się zmienić.

Drugi z portów — **Kłajpeda** *), jest geograficznie lepiej położony niż Królewiec względem tere-

*) Vide pracę autora p. t. „Kłajpeda” w roczniku Instytutu N.-Bad. Europy Wschodniej r. 1932.

nów województw północno-wschodnich. Ciężą do tego portu ziemie, znajdujące się w systemie Niemna, a więc południowa Wileńszczyzna, całe województwo Nowogródzkie, północno-wschodnia część Polesia, wreszcie wschodnia część wojew. Białostockiego. Port Kłajpedzki nie dorównuje pod względem technicznym Królewcowi, niemniej ostatnio przeprowadzone ulepszenia (pogłębienie, budowa nowego basenu) zmódnizowały w pewnej mierze ten port. Najważniejszym atutem Kłajpedy jest to, że leży ona u Niemnowego wylotu na Bałtyk: przy cieśninie, łączącej zatokę Kurońską z morzem. Bardzo dotkliwie odczuwanym brakiem Kłajpedy jest natomiast słaby rozwój linii kolejowych, łączących ten port z krajem i zagranicą. Do ostatnich czasów istniała tylko jedna linia, łącząca Kłajpedę z resztą Litwy, i to w drodze okólnej: linia Kłajpeda — Pogiegie — Szawle. Ostatnio została przeprowadzona linia, łącząca Kłajpedę z Szawłami bezpośrednio, przez Telsze, linia ta nie jest jednakże jeszcze uruchomiona. Jest ona jedyną obok magistrali Niemnowej trasą, która mogłaby ewentualnie odegrać większą rolę w handlu międzynarodowym Kłajpedy, jako odgałęzienie kolei Romny — Mińsk — Wilno — Szawle — Lipawa. Linia ta jest, jak wiadomo, nieczynna z powodu neutrumowania przez Litwę stosunków z Polską.

Wobec uprawiania przez Litwę względem Polski polityki równoległej do polityki niemieckiej, można przypuszczać, że dopóty stosunki polsko-litewskie będą złe, jak długo będzie istniał wrogi stosunek między Niemcami i Polską. *) Z tego też względu musimy wykreślić po Królewcu — Kłajpedę z pośród portów, któreby mogły stanowić w najbliższej przyszłości przyszłości wylot morski dla województw północno-wschodnich Rzeczypospolitej. Jak tego dowodzą cyfry obrotów handlowych Kłajpedy, port ten pracuje wyłącznie dla rynków litewskich, a przynajmniej dla znacznej części tych rynków.

Przeładunek towarów wyniósł w tysiącach ton w Kłajpedzie.

Rok 1911/13 przeciętnie	732	100 0/0
„ 1930	698	95,5 0/0
„ 1931	621	85 0/0

Obroty towarowe obecnie są mniejsze od przedwojennych głównie z powodu braku tranzytu drzewnego z województw północno-wschodnich Rzeczypospolitej.

Trzeci z badanych portów — **Lipawa**, posiada bardzo ważne atuty na swoją korzyść, aczkolwiek

istnieją również ujemne cechy, wynikające głównie z geo-politycznej sytuacji portu. Lipawa jest sytnowana na tych samych mniej więcej odległościach od centrów gospodarczych ziem Północno-Wschodnich Polski, jak Kłajpeda. Lipawa posiada urządzenia techniczne znacznie lepsze od urządzeń technicznych portu kłajpedzkiego: głębsze i obszerniejsze baseny, więcej środków technicznych dla przeładunku i t. p. Natomiast Lipawa nie leży u ujścia żadnej większej rzeki i nie posiada połączeń wodnych (mała rzeka Bartawa, nie stanowi takiego połączenia) z terenami ciężącymi do tego portu pod względem gospodarczym. Niemniej Lipawa leży u północno-zachodniego krańca wielkiej międzynarodowej linii kolejowej: Romny — Mińsk — Wilno — Szawle — Lipawa, łączącej ten port nie tylko z najważniejszym węzłem kolejowym województw Północno-Wschodnich Rzeczypospolitej: Wilnem, lecz również z terenami republik sowieckich: Białorusi i Ukrainy. Tą magistralą kolejową odbywał się przed wojną handel na wielką skalę, który jednak ustał po wojnie z powodu przecięcia linii przez Litwę na odcinku Landwarów — Koszedary. Jak dalece ucierpiał z tego powodu handel Lipawy, świadczą o tem następujące cyfry

Przeładunek towarów wynosił w tysiącach ton w Lipawie.

Rok 1911/13 przeciętnie	1.247	100 %
„ 1930	272	21 %
„ 1931	215	17,2 %

Jak widzimy obecne obroty Lipawy stanowią za ledwie $\frac{1}{6}$ część przedwojennych. Port ten ucierpiał najbardziej z pośród 3 rozpatrywanych z powodu zmiany przedwojennych warunków politycznych i gospodarczych. Stąd też mieszkańcy Lipawy poszukują wyjścia z impasu, w jaki ich postawiła okoliczność od nich samych niezależna: bojkot Polski przez Litwę. Nie wchodząc w istotę kwestii litewskiej, czy jak Litwini wolą to określać — sprawy Wileńskiej — jest jasne, że Łotwa, a w szczególności Lipawa, nie biorąc udziału w różnicach dzielących 2 sąsiednie kraje, cierpi z powodu skutków tych różnic. Lipawa, a w konsekwencji i Łotwa jest zainteresowana w usunięciu przeszkód dla tranzytu międzynarodowego kolejją Romny - Lipawa, gdyż zamiera gospodarczo z powodu braku tego tranzytu. Z drugiej strony województwa północno-wschodnie Polski niemniej cierpią z powodu braku dogodnego i bliskiego dostępu do morza. Wspólny interes działający z jednakową siłą w Lipawie i Wilnie winien spowodować ludność zachodniej Łotwy i północno-wschodniej Polski do dążenia do usunięcia sztucznych przeszkód, hamujących normalne życie gospodarcze znacznych połaci 2-ch sąsiednich krajów.

Należałoby spowodować otwarcie tranzytu w drodze międzynarodowej akcji dyplomatycznej względem Litwy. Należy podkreślić, że, jak o tem zresztą będzie mowa w innym miejscu — wyrok Trybunału Haskiego w sprawie ruchu kolejowego na odcinku Landwarów — Koszedary, wydany w roku ubiegłym — nie przesądza wcale możliwości rozstrzygnięcia tego zagadnienia. Wyrok był odpowiedzią na pytania, zredagowane przez Sekretariat Gen. Ligi Narodów. Redakcja tych pytań była tego rodzaju, że zgóry przesądzała sprawę na niekorzyść Wilna. Nic dziwnego: redaktorzy działali pod wpływem sugestii, płynących z berlińskiego urzędu przy Wilhelmstrasse. Nasza dyplomacja w sposób niedopuszczalny zlekce.

*) Pod tym względem nader charakterystyczne są enuncjacje p. Rosenberga, jednego z wodzów hitlerizmu oraz echo tych wystąpień w przemówieniach i artykułach p. Birzyski w Kownie. Niemcy wyznaczają Litwie nieco przecenianą przez polityków tego kraju rolę wassala i jednocześnie organizatora państwa litewsko-białorusko-ukraińskiego, któreby miało za zadanie okrażenie Polski od wschodu. Państwo takie istniałoby pod protektorem Niemiec. Litwini liczą się ze zwycięstwem Niemiec i wolą figurować wśród nich jeśli nie przyjaciół — to sług, dla których bądź co bądź mogłaby przyspać rolę współorganizatorów niemieckiej Mitteleuropy. Za taką cenę Litwini gotowi są nawet oddać Kłajpedę, z której zresztą widzą możliwość korzystania, jak z portu kraju sojuszniczego. Na wypadek przegranej Niemiec i upadku ich koncepcji politycznej — Litwini liczą na wrodzony Polakom brak wrogiemu ustosunkowania się względem siebie i interes polityczny Polski w istnieniu niepodległej Litwy. Jak widzimy proniemieckie koncepcje p. Smetony z r. 1918 żyją w dalszym ciągu i w dalszym ciągu czołowi litwini nie chcą wierzyć w możliwość całkowicie niepodległego istnienia swej Ojczyzny.

ważyła problem i nie dopilnowała sprawy redakcji pytań. W konsekwencji nawet polski delegat w Trybunale musiał głosować przeciw Polsce.

Wilno i Lipawa — dwie ofiary ślepego szowinizmu Litewskich nacjonalistów — muszą przystąpić do działania w sprawie tak żywej dla tych miast, jak

tranzyt przez litewską część kolei Romny—Lipawa. Muszą zabrać się do pracy same, gdyż jak wskazywała dotychczasowa praktyka — rzędy obydwu krajów: Polski i Łotwy — nie doceniały i lekcewały to zagadnienie.

STANISŁAW HERMANOWICZ

Rzemieślnik

Na tle przeszłych dziejów rzemiosła polskiego wyjątkowo tragicznie zarysowuje się grupa obecnego pokolenia mistrzów wileńskich. Zygzaki doświadczeń przeżytych, obnażając przed każdym z nich cały wyrafinowany cynizm losu, wycisnęły na uczuciowości członków cechów dzisiejszych piętno specjalne

Przed wojną światową widzieliśmy rzemieślnika pochłoniętego bez reszty działalnością konspiracyjną kulturalno-oświatową. Człowiek pracy, w okresie przedwojennym, gdy na Wileńszczyźnie nadprodukcja w dziedzinie rzemiosła omal, że nie istniała, miał być materialny względnie niezależny. Przeto z lekkim sercem, według własnej decyzji, tamował w konspiracji prawo zaborcy, rozpierającego się imperatywnie na 6-ej części obszarów lądowych świata. Z werwą i niestrudzeniem dźwigał rzemieślnik wśród najwymyślniejszych szykan i najróżnorodniejszych niebezpieczeństw kulturę swego narodu i tradycję niepodległości Rzeczypospolitej. W święta i po codziennej pracy, w warsztatach, godząc z obowiązkami rodzinnymi, był on, w miarę uzdolnienia i potrzeby czynnym ideowo jako: nauczyciel języka ojczystego, zbieracz i bibliotekarz ksiąg zakazanych, śpiewak chóru patriotycznego, artysta teatru amatorskiego, członek towarzystw i organizacji poufnych i t. p. Ujmował i zjednywał dla ojczystej

kultury, od wieku rusyfikowaną młodzież miast i wsi — właściwą demokracji prostotą, szczerością i serdecznością. Wytrwał w osiąganiu umiarkowanych celów. W nieszczęściu zdolna na wszelkie ofiary. W stosunkach towarzyskich uosobienie pogody życiowej, humoru i dowcipu. Kochany społecznik i kompan.

W okresie, brzemiennej w epokowe przemiany polityczne i społeczne, wojny światowej widzieliśmy rzemieślnika w szeregach P. O. W., Legionów i Wojska Polskiego. Wierny i karny radośnie i cicho spełniał nakaz polityczny. Trudził się i konał z głodu, zmęczenia i ran na wszystkich polach walk orężnych, gdzie się tylko krwawił żołnierz polski.

Obecnie w okresie ogólnoświatowego kryzysu gospodarczego przeoczony i zapomniany po daremnych, długotrwałych i uciążliwych poszukiwaniach pracy, drżąc z wyczerpania i zimna, rzemieślnik wileński znalazł się po za szeregami twórczej społeczności. Gdy słońce się zaćmi i gwiazdy luminują firmament niebieski, widzimy nieraz w czasie naszej włóczęgi, jak oczy niejednego rzemieślnika zachodzą łzami opuszczenia i rezygnacji.

Wilno, w październiku 1932 roku.

KAZIMIERZ LECZYCKI

O Rewizję Światopoglądu Polaków Zagranicą

Stosunek każdego obywatela do państwa, w którym się znajduje może być twórczy i niszczący. Nie trzeba chyba dowodzić, że stosunek niszczący, który polega zazwyczaj na tem, że to co bliskie jest złe, a to co dalekie — dobre — jest stosunkiem szkodliwym dla jednostki. Bywają wprawdzie epoki historyczne, w których taki stosunek jest koniecznością (n. p. nasz były stosunek do b. caratu rosyjskiego) jest — to jednak zawsze tylko smutna konieczność.

Powstanie Państwa Polskiego, które zmieniło nasz stosunek i do państwa in abstracto musi wywołać taką samą rewolucję stosunku polaków na całej kuli ziemskiej do państw — gospodarzy. Nie wolno już idei służenia Polsce traktować li tylko, jako obchód 3-go Maja, obrazek Kościuszki i niechętny stosunek do obecnej administracji. Wszelka idealizacja dalekiej, wymarzonej Ojczyzny nie może już zapewnić dostatecznego stopnia z patriotyzmu. Trzeba poddać radykalnej rewizji cały nasz stosunek do sprawy polskiej.

Ażeby jednak coś zrewidować trzeba wpraw, wiedzieć czego się chce? Czego wymaga epoka obecna od polaków zarubieźnych? Odpowiedź jasna: *nie frazesów patriotycznych, ale rozumnej i celowej, a przede wszystkim różniczkowanej pracy!*

Za najważniejsze uważałbym tutaj słowo „różniczkowanej”. W Paryżu może być taką pracą propaganda kulturalna, w Londynie bekony, w Ameryce opieka nad olimpijczykami, w Estonii propaganda turystyczna, w Holandji przekonywanie holendrów że Polska jest najlepszym rynkiem dla kapitałów i t. d.

Jakąż powinna być praca polaków w Niemczech, w Rosji i w Litwie? Oczywiście ani święcone, ani wspominki tradycji, tak miłej sercu każdego polaka szlachty laudańskiej. Zadaniem każdego polaka, zwłaszcza młodego, zwłaszcza należącego do generacji powojennej *jest systematyczna praca nad zmniejszaniem niechęci do Polski nad wykorzenianiem przesądów i uprzedzeń!*

Mniejszości narodowe w Europie mogą albo się stać powodem do nienawiści i wojen, albo wypełnić rolę *małej Ligi Narodów na swoim terytorjum. Mogą się stać one cennym pośrednikiem politycznym i handlowym, rozjemcą, tłumaczem kultury duchowej, obyczajowej i intelektualnej.*

Każdy polak zagranicą w myśl znanego powiedzenia jest ambasadorem swego państwa, a więc powinien być dobrym dyplomata. Do pierwszych obowiązków dyplomaty należy przyjaźń i szacunek dla państwa w którym rezyduje. Czy tak jest zawsze?

Nie ulega wątpliwości, że prawo większego przyciągania jest właściwością nie tylko wielkich magnesów, ale i wielkich mas ludności. Wywiera to zazwyczaj defekty w tych „zaletach dyplomatycznych”. Pod czas kiedy wielka masa Rosji i Niemiec pozbawia nieraz jednostki słabsze krytycyzmu i godności narodowej, o tyle małe masy wytwarzają nader często niesłuszne i niesmaczne lekceważenia. Podczas kiedy kultura nie miecka, względnie Dnieprostroj wywołują nawet w obrębie Polski pomniejszanie naszej własnej niereklamowanej „piatiletki”, obawiam się, że w stosunku do t. zw. państw małych myśli jeżeli nie dyskusje mogą się toczyć w deseń taki:

„Nas jest 32 miliony, a was 2 i pół, u nas jest Kusociński, a u was guzik, my mamy Łódź, a wy samodziaily” i t. d. i t. d., jeżeli nie gorzej.

W każdym razie sam słyshałem podobne rozmowy w jednym z państw mniejszych. Taki mały Wilhelm II-gi nie zdawał sobie nawet sprawy, że pomimo święconego i obrazków na ścianie spycha Polskę z jej odwiecznej wspaniałej drogi historycznej

dla przejściowych chorób pruskich z końca XIX-go stulecia, które w końcu doprowadziły nawet cesarstwo Niemieckie do klęski 1918-go roku. No, ale są narody, którym chamstwo jest do twarzy. Polsce chamstwo nigdy nie było do twarzy. Być pożytecznym wytrwałym i cierpliwym oto zasada polskiego ambasadora zagranicą, członka 7-io miljonowego zrzeszenia ambasadorów. Jeżeli chodzi o polaków w Litwie, to ich rola jest wyjątkowo trudna, ale może być wyjątkowo wielką i zaszczytną. Powinni oni stać się oliwą, która systematycznie i stale zmazuje obolałe miejsca. Powinni wytworzyć pośród siebie szereg tłumaczy i pośredników dla nowych powojennych kultur polskiej i litewskiej. Nieraz literatura i kultura tłumacząc nowele, czy poezje więcej zbliża narody niż wina i torty dyplomatycznych rautów. Jakimże wspaniałym dowodem służby Ojczyźnie jest n. p. kultura francuska! Jakże wszystkie odcienia tej kultury od kuchni, aż do wieży Eiffel zaprzęgają świat do rydwanu Francji. Jakże jasną i prostą jest ta zasada łacińska kulturalnego promieniowania: „ujarzmiać świat przez udoskonalanie samego siebie”.

Artykuł niniejszy jest w pierwszym rzędzie przeznaczony dla generacji powojennych. One powinny w sobie wytworzyć przeświadczenie, że przywiązanie do Polski i Jej kultury nie wyklucza stosunku twórczego do innych państwowości, że trzeba objawy niechęci do Polski traktować jak chorobę, którą się leczy naukowo, a nie po znachorsku. A kto wie czy Polska, która zaczyna się wybijać w tyłu dziedzinach, nie potrafi wytworzyć z czynnika zaognień i nienawiści—czynnik harmonii i pokoju.

JAN KRUSZYŃSKI.

Fotografika Wileńska

II.

W pierwszym numerze „Włóczęgi” pisałem ogólnie o Fotoklubie wileńskim, jako organizacji bardzo żywotnej i znanej w polskim świecie fotograficznym. Fotoklub zorganizował kilka wystaw fotografii artystycznej w Wilnie, w tem jeden salon międzynarodowy. Członkowie klubu biorą liczny udział w salonach krajowych i zagranicznych. Wykazałem już w cyfrach, że Wilno pod względem ilości wystaw i przyjętych na nie prac, stoi na pierwszym miejscu pomiędzy innymi miastami Polski.

Jeżeli Wilno wykazuje taką energję w pracy artystycznej fotograficznej, jest to bezsprzecznie zasługą Jana Bułhaka. Pisać o działalności Bułhaka w krótkim artykule jest trudno, tembardziej, że działalność ta jest bardzo różnorodna. Z którejkolwiek strony podchodzi się do Bułhaka, zawsze uderza ogrom wykonanej twórczej pracy, czy to w dziedzinie dydaktyki czy w ulepszaniu metod pracy czy wreszcie w fotografowaniu krajobrazu polskiego.

Obecnie Bułhak ma już ponad 7 tysięcy zdjęć z całej Polski i naprawdę, jeżeli się myśli o krajobrazie polskim, to się myśli obrazami Bułhaka. W obrazach lasów i wsi, fragmentach kamienic i starych uliczek nie chodzi mu o wierność i dokładność rzeczową, Bułhaka pociąga gra światła. Bułhak idzie sobie „po przez świat z kamerą pod pachą, z wysterczającym rozczapierzonym trójnogiem, z czarnym, zmiętoszonym pokryciem w garści. Świat Boży jest piękny i rozmaity, cieszy kolorem i kształtem, nęci dole-

ką nicością widnokręgów, raduje niespodziankami światło-cienia.”*)

Bułhakowi nie chodzi o to, czy miasto, na które patrzy, będzie oddane wiernie: tem lepiej, gdy będzie mgła, która przesłoni horyzont tajemniczością a podkreśli kontury pierwszych planów. Patrzący na obraz nie będzie miał martwego spisu ulic, nie będzie mógł policzyć wszystkich domów jakie są w mieście, lecz zobaczy przed sobą „wizję miasta”, dzieło powstałe w chwili zachwyty.

Drzewa, które dla tysięcy osób są tylko przyozdobieniem ulic miasta i źródłem cienia latem, dla Bułhaka są istotami ożywionymi, mającemi swoje indywidualne cechy, swoją wymowę. Z fragmentu drzewa, kilku nagich gałęzi, Bułhak tworzy obraz o olbrzymiej ekspresji i tragizmie. *)

W podobny sposób Bułhak podchodzi do wszystkiego, co go otacza.

Strona techniczna fotografii, będąca dla wielu poważnych skądinąd fotografików często celem, dla Bułhaka jest tylko środkiem wypowiedzania się. Stara się on jaknajbardziej wyzwoić od aparatu, jakości klisz i papierów bronzowych. Technika nagina do swoich wymagań, wprowadzając „farmerowanie” do powiększeń, a ostatnio sposób „wtórnikowy” prawie całkowicie uniezależniający artystę od obiektywu aparatu fotograficznego.

*) J. Bułhak. „Polski Przegląd Fotograficzny” r. 1929. Str. 26.

) „Laokoon” — reprodukcja w „Fotografice obrazu”, 1932.

Nie mogę tutaj pisać, na czym polegają powyższe sposoby, zaprowadziłoby to nas zbyt daleko czytelnik wszystko znajdzie w fachowej literaturze, gdzie Bułhak znowu stoi na pierwszym miejscu. Przed rokiem wydał on dzieło p. t. „Fotografika”, w którym autor omawia, z punktu widzenia artystycznego cały proces fotograficzny, od ujęcia tematu i skomponowania go na matówce, aż do wykończenia obrazu w technikach szlachetnych.

Obecnie przygotowuje on swą pracę, poświęconą tym razem wyłącznie „technice brązowej”.

Z prastarych członków Fotoklubu Wileńskiego zarysowują się najbardziej wyraźnie ks. Piotr Śledziwski i Bolesława Zdanowska. Są to dwie bardzo wybitne indywidualności; ks. Śledziwski szuka rozwiązania zagadnień kompozycyjnych przeważnie w Krajobrazie, p. Zdanowska pracuje o ile mi wiadomo, wyłącznie nad portretem. W ujęciu postaci, wyrazie twarzy, układzie rąk, portrety Zdanowskiej są dziwnie harmonijne. Kompozycja, rozłożenie plam na płaszczyźnie, wszędzie są świetne.

Zdanowską pociąga dekoracyjność w portrecie:

postaci są pełne życia i ruchu. W postaciach kobiecych świetnie uchwyciła ona „tutejszy” typ. Jeżeli kiedy powstanie album typów ludowych polskich, to portrety Zdanowskiej muszą się tam znaleźć przede wszystkim.

Fotografie ks. Śledziewskiego odznaczają się przedewszystkiem śmiałą kompozycją i syntezą. Artysta wskazuje tylko na rzeczy niezbędne w temacie, jest surowy, zwięzły. Takimi są jego „samochód”, „Gdynia”, zareprodukowana w „Almanachu Fotografiki wileńskiej” 1931.

Pozostali członkowie Fotoklubu szukają jeszcze własnych dróg. Technikę, metody pracy fotograficznej opanowali wszyscy świetnie, jednak w temacie obrazków, w ujęciu, w walorach znać prawie wszędzie wpływ Bułhaka, to też słusznie Wileński Fotoklub w innych polskich środowiskach nosi opinię szkoły Bułhaka. W ostatnich czasach członkowie Fotoklubu zaczynają coraz częściej tworzyć rzeczy nowe, własne, co wróży, że w przyszłości wileńska fotografika pójdzie naprzód własnymi drogami w różnych kierunkach.

Jednym z podstawowych czynników powodujących kryzys — jest depresja psychiczna Walczmy z nią, a przyczynimy się do zwalczania kryzysu.

WADZIM WOJTKIEWICZ.

Selekcja młodzieży akademickiej, a opłaty

Od 1-go września bieżącego roku zaczął obowiązywać rozporządzenie Ministra W. R. i O. P. z dnia 12 lipca 1932 r. O opłatach studenckich w państwowych szkołach akademickich oraz w Państwowym Instytucie Dentystycznym w Warszawie (Dz. Urzędowy M-wa W. R. i O. P. Nr. 5 z dn. 30 lipca 1932 r.). Skutki widzimy już teraz. Z rozpoczęciem roku akademickiego podniosła się istna burza protestów, wieców, ulotek, artykułów, broszurek. Poszczególne akademickie stowarzyszenia polityczne, jak upragnionej kości chwycili się sprawy podniesionych opłat, włączając je w swe programy walki ideowej, przez co już odrazu, z punktu tak ważna sprawa, cały ogół młodzieży akadem. obchodząca, wkroczyła na tory niewłaściwe, bo stała się jedną z wielu piłek żonglerki politycznej. Mylnem byłoby jednak sądzić, że sprawa opłat obchodzi tylko młodzież akademicką. Na podstawie wywodów, o których niżej, przekonamy się, że interesować ona powinna w równej, jeżeli nie większej jeszcze mierze całe społeczeństwo, to też ujęcie całej sprawy w ramy właściwe, możliwie obiektywne i bezstronne jej naświetlenie uważamy za rzecz wysoce pożądaną.

* * *

Postaramy się teraz zbadać motywy, jakimi kierować się mogło Ministerstwo przy ogłaszaniu rozporządzenia o podniesieniu opłat. Samo bowiem rozporządzenie o tych motywach nic nie wspomina. Zdaniem mojem motywacją mogła być dwójka:

1. Powody wyłącznie finansowego charakteru. Wiadomem bowiem jest, że państwo dokłada pewne większe sumy na utrzymanie szkół wyższych, pomoce naukowe, biblioteki, niesienie pomocy materialnej studentom i t. d. Otóż wielce prawdopodobnem jest, że wobec trudnej sytuacji finansowej skarbu dla zmniejszenia deficytu przewidzianego budżetu na następny rok gospodarczy, chciał rząd zrównoważyć w pewnej mierze odnośne pozycje budżetowe przez podniesie-

nie opłat. Za taką interpretacją szczególnie przemawia jeden z paragrafów cytowanego na wstępie rozporządzenia, który mówi, że z wpływów, osiągniętych przez podniesienie, opłat tworzy się „Fundusz Opłat Studenckich”, przeznaczony 1-o na potrzeby pracowni, seminariów i bibliotek, 2-o na wydatki egzaminacyjne, 3-o na domy profesorskie i studenckie, wreszcie 4-o na pomoc młodzieży. (§ 4). Taka jednakowoż motywacja wydaje mi się niezupełnie realną. Albowiem, po pierwsze, podniesione opłaty, mimo swej wysokości (od 300 zł. na początkowych kursach do 200 — 260 zł. na ostatnich), nie pokryje całkowicie, a nawet w dużej mierze pozycji budżetowej na utrzymanie państwowych szkół wyższych, pomocy naukowych i t. d. Zatem mimo wszystko skarb musi nadal dokładać pewne większe sumy. Tem bardziej, nie mogło tu chodzić o remedium natychmiastowe, gdyż w bieżącym roku akad. podniesiono opłaty tylko dla pierwszych kursów, a cała akcja obliczona jest na lat cztery. Po wtóre niewłaściwem wydaje się podnoszenie opłat w okresie kryzysu, ogólnej depresji gospodarczej, o ile ministerstwo miało wzgląd na dobro samej młodzieży studjującej.

2. Drugim zasadniczym motywem mogła być chęć ograniczenia dopływu młodzieży na uniwersytety w czym widziano jeden z możliwych sposobów rozwiązania najbardziej obecnie aktualnego i żywotnego problemu: nadprodukcji inteligencji zawodowej. Nie poruszając na tem miejscu samego skądinąd bardzo zasaniczonego obecnie zagadnienia, nie wchodząc w to, w jakim stopniu hiper-produkcja istnieje, czy i o ile jest groźna, — stwierdziwszy jedynie sam niewątpliwy już dla nikogo fakt jej istnienia, ograniczamy się jedynie do zbadania o ile celowem jest podniesienie opłat akademickich, jako jednego ze sposobów walki z tem zjawiskiem. Otóż, jeżeli przyjmiemy, że powodem podniesienia opłat była chęć zmniejszenia dopływu młodzieży na uniwersytety, to zgóry stwierdzić

musimy, że w tym wypadku posunięcie to było, przynajmniej jeżeli chodzi o nasz północno-wschodni teren, chybione. Primo, nie osiągnięto ograniczenia frekwencji, bo ostatnie zapisy na Uniw. Stef. Bat. całkowicie nie wykazały zmniejszenia liczby nowo wstępujących, a na pewnych wydziałach nawet daje się zauważyć nieznaczna poprawa. Secundo, stworzono tendencję do przegrupowania na korzyść warstw zamożniejszych ze stanowczym upośledzeniem proletariatu inteligenckiego, dla którego faktycznie zamknięto dostęp na wyższe uczelnie państwowe. Skutek zatem pod każdym względem negatywny. Mam jednak wrażenie, że chodziło tu o połączenie obu omawianych wyżej celów: nadłatafania budżetu i ograniczenie dopływu, — przyznać należy, że drogę wybrano niezupełnie odpowiednią.

* * *

Mówiliśmy już, nie wnikając w przyczyny, rozmiary i skutki, że stoimy wobec całkiem już realnego zjawiska hiper-produkcji inteligencji zawodowej. Bezwarunkowo ze zjawiskiem tem należy walczyć. Ale jak? Jakie obrać metody? Wydaje mi się, że najsukcesyjniejszą metodą jest ograniczenie dopływu młodzieży na uniwersytety. Innych jednak należy szukać dróg owego ograniczenia. Sposobów jest wiele. Jednym z nich, jak już wskazaliśmy, najmniej odpowiednim jest podniesienie opłat. Polemika prasowa, uznając potrzebę walki z nadprodukcją, wysunęła cały szereg innych recept. Każda z nich oparta jest jednak na innej podstawie, przede wszystkim w zależności od programu politycznego odpowiedniej organizacji, naciągającej sprawę opłat do swoich celów partyjnych. Już zaznaczyliśmy, iż z tego właśnie powodu sprawa opłat wkroczyła odrazu, z punktu, na tory całkiem niewłaściwe. Tymczasem przecież sprawa jest poważna, obchodzić powinna zarówno całą młodzież akademicką, jak i szerszy ogół społeczeństwa. Stąd wyrobienie jednolitego frontu opartego na płaszczyźnie najbardziej obiektywnej i rzeczowej wydaje mi się wielce celowym i pożądanym. Co jednak rozumieć należy przez obiektywizm w danym wypadku? To znaczy, że sprawę walki z hiperprodukcją rozpatrywać należy w całkowitej izolacji od takich czy innych programów politycznych. Uznać, zgodzić się w danym wypadku, że dla dobra samej syrawy należy ją wyłączyć z widnokręgu partyjnego, uznać za rzecz ogólnospołeczną. Dlatego zaś, aby stanowisko nasze w tej sprawie było naprawdę rzeczowe, należy je oprzeć na zasadach racjonalnej walki z hiperprodukcją. Wracając teraz do naszego zagadnienia za taką jedynie właściwą, jedynie racjonalną zasadę uważam ograniczenie dopływu młodzieży na nasze uniwersytety drogą zastosowania najdalej idącej selekcji, opartej na badaniu poziomu ogólnego rozwoju, stopnia uzdolnień, zdolności do pracy. Zatem nie podnoszenie opłat, podstawa fiskalna, tylko ciężar gatunkowy młodzieży. Aż dotąd stanowisko całej młodzieży akademickiej jest prawie że jednolite. Powszechnie uznaje się konieczność zmniejszenia zapisów na uniwersytety, powszechnie uważa się, iż droga na wyższe uczelnie powinna być otwarta tylko dla jednostek naprawdę uzdolnionych i pracowitych, a więc uznaje się konieczność selekcji. Rozbieżności i to daleko idące, ujawniają się dopiero w sprawie sposobów owej selekcji. I tak, jedni uważają za sprawdzian uzdolnień świadectwo maturalne i żądają t. zw. konkursu matur, drudzy wstępnego egzaminu z tych przedmiotów, których znajomość jest niezbędna dla dalszych studiów. Inni wreszcie mówią, że pierwszy rok studiów powinien być rodzajem próby, a dopiero egzaminy roczne mają zadecydować o uzdolnieniach

studenta i otworzyć mu dostęp do dalszych studiów przy jednoczesnym popieraniu najbardziej uzdolnionych i pracowitych jednostek drogą udzielania stypendjów. Mam wrażenie jednak, że wszystkie wspomniane sposoby selekcji nie dają gwarancji należytego sprawdzianu uzdolnień, albowiem świadectwo maturalne w pewnej mierze tylko świadczy o uzdolnieniach jego posiadacza, gdyż jakość świadectw zależy może od całego szeregu innych czynników np. poziomu wymagań odpowiedniej szkoły średniej. (Znanym naogół jest faktem, że świadectwa maturalne, uzyskane w szkołach prywatnych, wykazują naogół lepsze stopnie niż świadectwa szkół państwowych, podobnie znanem jest zjawisko przenoszenia się uczni mniej pracowitych, czy zdolnych, do innych szkół o poziomie wymagań niższym, gdzie czasem uczeń, nie mający w poprzedniej szkole żadnych widoków „zrobienia matury“, dostaje ją, czasem nawet z dobrymi wynikami. Zatem selekcja, oparta na t. zw. konkursie matur, nie daje jeszcze obrazu istotnego uzdolnień kandydata. Podobnie wstępny egzamin konkursowy jest tylko fragmentarycznym sposobem stwierdzenia zdolności kandydata, gdyż wynik egzaminu zależy czasem od szeregu momentów przypadkowych i bynajmniej nie ilustruje całości.

Również projekt t. zw. „próbego roku studiów“ nie rozwiązuje w całości zagadnienia, gdyż sam egzamin roczny, przynajmniej na pewnych latach, przy dotychczasowej swej konstrukcji, jest często wynikiem całkiem przypadkowych okoliczności, jest, jak go powszechnie studenci określają, „loterią“, na której w dużej mierze szczęście, przypadkowe natrafienie na dobrze opracowany dział, decyduje o wyniku. Poza to projekt ten nie zastanawia się całkiem prawie nad tem, co należy robić z tymi studentami, którzy albo całkiem nie złożą egzaminów, albo nie wykażą się na nich wynikiem dobrym i staną się przez to faktycznym balastem na uniwersytecie. Zagadnienie racjonalnej selekcji, jak widzimy, nie jest całkiem proste i recepty dotychczasowe nie mogą in radice zaradzić złu.

Mojem najgłębszym przekonaniem sprawa racjonalnej selekcji nie da się pomyśleć bez uprzedniego zreorganizowania systemu egzaminacyjnego, w szczególności oparcia go nie na wyłącznym (jak na niektórych wydziałach) egzaminie rocznym, lecz na uprzednich obowiązkowych egzaminach trymistrzalnych w postaci bądź obowiązkowych kollokwjów z całego przerabianego przedmiotu lub z jego części na seminarjach lub na ćwiczeniach przerabianych, przy równoczesnym pozostawieniu egzaminów rocznych z tem jednak, że wyniki, uzyskane na owych egzaminach trymestrzalnych decydują o dopuszczeniu kandydata do egzaminu rocznego. Przez to uzyska się ciągłą kontrolę nad całoroczną pracą studenta, zaś egzamin roczny pozbawi się cech przypadkowości i fragmentaryczności. Racjonalna selekcja zatem, winna polegać na połączeniu wstępnego konkursowego egzaminu przy równoczesnym ograniczeniu zgóry ilości studentów (miejsc) na danym wydziale z takim systemem studiów, któryby w drodze stosowania trymestrzalnych egzaminów, dawał gwarancję ciągłej kontroli pracy studenta. Opłaty przy takim systemie studiów powinny być zdaniem mojem, obniżone do minimum. Z drugiej strony bezwarunkowo stosować należy przyznawanie stypendjów względnie zwolnień z opłat całkowitych lub częściowych dla młodzieży, która w ciągu roku wykaże się szczególnymi uzdolnieniami lub pracowitością. Pozostaje pytanie, co robić z tymi, którzy ani uzdolnień, ani pracowitości w ciągu danego roku akademickiego nie wykażą.

Należy bezwzględnie pozwolić im na powtórzenie danego roku studjów lub trymestrów, z których na egzaminie nie uzyskali postępów przynajmniej dostatecznych, o ile zaś w roku, względnie w tryestrze następnym stwierdzonem zostanie zaniedbanie, ignorancja przedmiotu lub stanowczy brak uzdolnienia do studjów w obranym kierunku, — należy ich usuwać z danego wydziału, jako element zbyteczny, balast, obciążający uczelnię.

Szczupłe ramy niniejszego artykułu nie pozwalają mi na skreślenie programu szczegółowego podobnej reformy studjów, zresztą nie jest to obecnie moim zamiarem. Artykuł ten chce jedynie tylko wskazać potrzebę oraz podać ogólne wytyczne przebudowy organizacji studjów celem umożliwienia racjonalnej selekcji oraz konieczności tej ostatniej dla zażegnania już istniejącego i coraz bardziej groźne rozmiary przybierającego niebezpieczeństwa nadprodukcji dyletanckiej inteligencji fachowej w naszym Państwie.

* * *

A teraz wracamy do kwestji podwyższonych opłat. Co robić z tem fantem obecnie? Zdaniem mojem należy opłaty utrzymać w roku bieżącym w wysokości

oznaczonej cytowanem wyżej rozporządzeniem M-wa W. R. i O. P., gdyż w tym roku dotyczą one tylko nowowstępujących, którzy o podwyższonych opłatach przy zapisach na uniwersytety wiedzieli, a więc liczyli się zasadniczo ze swoimi możliwościami finansowymi. Dla rzesz zaś tej uboższej młodzieży, której podwyższone opłaty zamknęły drzwi do uczelni wyższych, obniżenie podwyższonych opłat jeszcze w bieżącym roku nie wyrówna wyrządzonej krzywdy wobec oficjalnego zamknięcia wpisów i faktycznej już niemożności przyjęcia wskutek rozpoczęcia wykładów i ćwiczeń. Trzeba jednak w szerokim zakresie stosować odraczanie względnie zmniejszania opłat dla niezamożniejszej młodzieży, co przewiduje zresztą samo rozporządzenie w § 3-cim.

Należy natomiast, już teraz, zawczasu, *zabrać się do przygotowywania danych dla reformy studjów w myśl nakreślonych wyżej zasad, których celem ostatecznym jest oparcie studjów na takim systemie, który najwięcej daje gwarancji rzeczowej, racjonalnej selekcji w myśl zasady, że uzdolnienie, chęć do pracy, jednym słowem ciężar gatunkowy decydować winien o przyszłych kadrach pracowników dla społeczeństwa i Państwa.*

Ciężka sytuacja gospodarcza ziem Północno-Wschodnich a Wileńszczyzny w szczególności została spowodowana w głównej mierze istnieniem „martwych granic”. Dzięki nim jesteśmy odcięci od świata. Jedyłą wolną drogę stanowi morze. Ziemie nasze muszą mieć dostęp do morza, muszą mieć własny port na najbliższym odcinku Bałtyku. Tym portem w dobie obecnej może być tylko Lipawa.

Włóczęga wśród Książek

Pamiętnik Zjazdu Gospodarczego w Oszmianie w dn. 11/X 1931 r. opracowany pod redakcją Antoniego Łokuciewskiego, dyrektora gimnazjum i Józefa Zubiela, burmistrza m. Oszmiany. Nakładem magistratu m. Oszmiany. Wilno 1932, str. 179.

Utarło się już przekonanie, iż poza wielkiem środowiskiem kulturalnem jakim jest niewątpliwie Wilno, całe terytorjum ziem północno-wschodnich pokrywa mrok pierwotności. Sporadyczne przejawy życia kulturalnego prowincji nie są zdolne zmienić powyższego, całkiem niesłusznego sądu. Istotnie ciężki stan gospodarczy wsi kresowej, upadek niemal wszystkich warsztatów przemysłowych, ogólna pauperyzacja społeczeństwa ziem północno-wschodnich nie przyczyniają się do rozwoju życia intelektualnego i kulturalnego. Nie upoważnia to jednak do pomawiania naszej prowincji o brak zainteresowań w tej dziedzinie. Powiemy więcej. Zdumiewać się nieraz należy, iż mimo tak licznych bolączek naszego życia codziennego, mimo, iż ziemie północno-wschodnie są przez centralę traktowane po macoszemu, zdrowy instynkt tutejszej ludności nie zanika, odwrotnie czasami wprost imponuje.

Że tak jest istotnie, dowodem leżący przed nami tom „Pamiętnika zjazdu gospod. w Oszmianie”. Wydany solidnie, bogato ilustrowany pod artystycznym kierownictwem Prof. F. Ruszczyca, w skromnej lecz ładnie pomyślanej szacie zewnętrznej zawiera on treść bogatą, przemyślaną, a co najważniejsze opartą na gruntownej znajomości rzeczywistości i jej jasnych i ciemnych stron. Wśród t. zw. wydawnictw regionalnych „Pamiętnik” oszmiański należy postawić na naczelnem miejscu. Zapoznajmy się pokrótce z treścią.

Na całość pracy składają się działy: 1. Zjazd Gospodarczy, t. j. kronika zjazdu i niektóre z wygłoszonych referatów. 2. Powódź w powiecie oszmiańskim w kwietniu 1931 r., którą barwnie opisał dla potomności W. Oluchowicz. 3. Miasto Oszmiana w świetle liczb. 4. Powiat oszmiański w świetle liczb. 5. Dochody i wydatki związków komunalnych pow. Oszmiańskiego. 6. Stan majątku związków komunalnych pow. Oszmiańskiego.

Szczupłe ramy niniejszej wzmianki nie pozwalają na dokładniejsze omówienie skrzętnie zgromadzonego materiału statystycznego, obrazującego wysiłki i rezultaty osiągnięte przez społeczeństwo oszmiańskie w trudnym okresie powojennej odbudowy powiatu. Stwierdzić jednak należy iż są one bardzo znaczne i pozytywne, dobrze świadczące o gospodarności oszmiańczyków.

Z referatów wygłoszonych na Zjeździe na innem miejscu został omówiony referat dr. S. Wysłoucha — Ziemia Oszmiańska na rubieży dwu kultur. Tutaj podkreślić należy walory pracy dyr. A. Łokuciewskiego. Sytuacja gospodarcza powiatu Oszmiańskiego w 1931 r. W powyższym referacie Autor daje wnikliwą ocenę sytuacji gospodarczej Oszmiańszczyzny na szerokiem tle ogólnopolskiego kryzysu. Kolejno zostały tu wyczerpująco omówione poszczególne dziedziny życia gospodarczego i samorządowego składającego się na całość kształt sytuacji powiatu.

Dyr. Łokuciewski nie zadawalnia się jedynie scharakteryzowaniem istniejącego stanu rzeczy. Stara się on wykreślić linię postępowania na przyszłość rozwijając pewne lokalne możliwości gospodarcze jak np. popieranie rozwoju przemysłu lniarskiego tego „białego węgla” ziemi wileńskiej. Słusznie podkreśla

Autor iż „walka toczy się o rzecz nie małą — o niezależność surowca polskiego od importu zagranicznego i zbliżenie surowca polskiego do polskich fabryk włókienniczych”.

W zakończeniu swego nadzwyczaj zajmującego referatu dyr. A. Łokuciewski dochodzi do wniosku: „rolnik jest zbyt bierny, aby mógł samodzielnie szukać wyjścia z ciężkiej sytuacji, zbliża się do niego widmo bezrobocia i jego socjalnej ideologii. Przeciwdziałać temu musi planowa praca, oparta na znajomości dziedzin życia ekonomicznego powiatu. „Należy sporządzić plan gospodarczy i plan pracy dla powiatu. Ażeby to zrobić, trzeba poznać potrzeby życia zbiorowego w każdej jego dziedzinie. Wszystkie organizacje gospodarcze, kulturalno-oświatowe i społeczne, wszystkie władze kontrolne i kierownicze powiatu winny stanąć do wspólnej pracy: winny studjować, dyskutować, opracowywać i ewentualnie zatwierdzić tematy i tezy planu, zmierzające do powiększenia dobrobytu ludności i ulepszenia gospodarki powiatu oszmiańskiego”.

Apel pow. Oszmiańskiego winien głośnem echem odbić się w najdalszych skutkach naszej ziemi do głębi poruszyć społeczeństwo w imię wysuniętego przez Oszmianę hasła „poprzez przeszłość, teraźniejszość patrzmy w przyszłość; niech żadne bierne oczekiwanie, żadne zniechęcenie nie powstrzyma nas od pracy dla naszej rodzimej ziemi, bo pracując dla niej spełniamy nasz obowiązek: służymy dobru całej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej!”.

S. W.

Ksawery Pruszyński: „Sarajewo 1914, Szanghaj 1932, Gdańsk 193?”.

Praca pod tym tytułem stanowi cykl artykułów publicysty konserwatywnego, ogłoszonych w r. b. w postaci raportu z Gdańska. Nie uważamy za fortuną formę publikowania cyklu artykułów w oddzielnej odtłoczce. Artykuły dziennikarskie, z natury rzeczy powierzchowne i oddające nastrój chwili — nie nadają się do publikacji książkowej. Inna rzecz, jeśli tematy artykułów zostaną przepracowane i pogłębione w drodze studjum specjalnego danego zagadnienia.

Praca p. Pruszyńskiego posiada kilkanaście trafnych spostrzeżeń i zawiera parę ciekawych wniosków, jednakże obok tego Autor popełnia błędy, i to ważne, a co najważniejsza, — nie wyprowadza wniosku zasadniczego, co jest do zrobienia dla skierowania stosunków polsko-gdańskich na właściwe tory? Błędem Autora jest odmalowanie w zbyt ciemnych barwach ucisku Polaków w Gdańsku. Tak źle, jako to podaje Autor — nie jest. To właśnie przesada w opisach ucisku ludności polskiej Wolnego Miasta jest jednym z czynników, jątrzących wzajemne stosunki. Błędem jest również przecenianie wartości grup hitlerowskich: dowódzą tego ostatnie wypadki w Niemczech. Równolegle niedocenia Autor siłę swego p. Müllera, czyli elementu autochtonicznego — handlowego i kupieckiego w Wolnem Mieście. Ciekawem i trafnem jest natomiast porównanie oddziały hitlerowców z „kureniami śmierci”, dobrą jest charakterystyka gdańskich dygnitarzy. Co do oceny polskich względem Gdańska błędów, — to było ich, niestety, grubo więcej, niż to podaje Autor.

Główną zasługą Autora jest dostarczenie polskiej publicystyce materiału do dyskusji na temat problemu gdańskiego. Pod tym względem praca p. Pruszyńskiego pożytecznie różni się od takich naprzykład elaboratów, jak osławione — raporty p. Schummera z Litwy. Nie dorasta jednak pod względem trafności ujęcia prac takich publicystów, jak Knickerbocker (na którym, zdaje się, Autor nieco się wzorował) lub plejada dziennikarzy francuskich.

T. N.

Tutejsi, zbudźcie się

Praca D-ra Seweryna Wysłoucha p. t. „Ziemia Oszmiańska na Rubieżu Dwu Kultur” należy do tej kategorii opracowań naukowych, które zaprojektowane w rozmiarach względnie niedużych, w miarę postępu pracy porywają autora siłą atrakcyjną poruszonych zagadnień i wbrew intencjom pierwotnym —

rozszerzają znacznie zakres dociekań. Nie jest to bynajmniej wadą pracy. Odwrotnie: czytelnik pod skromnym tytułem, zapowiadającym omówienie niektórych spraw jednego powiatu, znajduje próbę rozstrzygnięcia „węzła gordyjskiego odrodzonej państwowości polskiej”, próbę rozwikłania stosunków narodowościowych, wyznaniowych i społecznych na obszarach etnicznie mieszanych. Zagadnienia poruszone przez p. Wysłoucha są wyjątkowo ważne ale jednocześnie i trudne do rozstrzygnięcia. Nic dziwnego: od tego rozstrzygnięcia mogą zależeć losy drugiej Rzeczypospolitej.

W krótkim z konieczności omówieniu nie sposób jest ocenić należycie walory pracy. W tym celu należy przeczytać ją. Napisana jasno i zwięźle stanowi skrót poglądów Autora na kapitalne zagadnienie współżycia narodowości u nas. Przeczytać ją, i to nieraz, winni zwłaszcza ci, co mają zwyczaj wypowiadania się o t. zw. „regionalizmie” w sposób świadczący o całkowitej ignorancji tematu. Z naszej strony uwypuklimy jedynie parę spostrzeżeń i wniosków Autora, które najbardziej nas uderzyły.

Po szczegółowym omówieniu historii stosunków na terenach b. wielkiego Księstwa Litewskiego, Autor przechodzi do scharakteryzowania powojennej rzeczywistości. Mówi on cytując prof. M. Zdziechowskiego:

„Odrodzonej Polsce „włóściańsko - robotniczej” „obce były tradycje historyczne dawnej ponadnarodowej Rzeczypospolitej”. Wszechpotężny zaś na „ówczes nacjonalizm polski zerwał oddawna z romantycznymi postulatami kresowej polityki na wschodzie Jagiellonów. „Idea nacjonalistyczna w tych jej „spaczeniach, co są klęską ludzkości, opanowała całą „kowię społeczeństwo powojenne”.

Nic też dziwnego, że wśród takiego społeczeństwa nie znalazła oddźwięku odezwa Wodza Naczelnego z r. 1919 i że zwyciężyła w walce z „orientacją unij”, będącej punktem wyjścia Odezwy, — ciasna, krótkowzroczna i niebezpieczna „orientacja aneksji”, której ostateczne sformułowanie stanowił traktat Ryski.

Jakiż program winniśmy wysunąć my dzisiejsze pokolenie, pokolenie siedemnastoletnich ochotników wojsk polskich z roku 1918, z którym ramieniem walczył przeciw nawale moskiewskiej nie kto inny jak ten sam chłop białoruski, którego dzisiaj nasi nacjonałiści różnego autoramentu chcą wynarodowić? Jaki program narodowościowy winien wysunąć dzisiaj rząd Wodza Naczelnego, pod którego rozkazami przed kilkunastu laty szliśmy razem pod Połock, Borysów, Bobrujsk, Kijów? Odpowiada na to autor na str. 49 jak następuje:

„Programowi nacjonalizmu polskiego, na miejsce asymilacji narodowościowej części narodu Białoruskiego, zamieszkałej w Polsce, można przeciwstawić koncepcję asymilacji państwowej”. I dodaje za E. Woynickowiczem: „Dla potęgi państwa ważniejszym jest mieć zaludnienie niekoniecznie mówiące językiem państwowym, ale czujące się dobrze pod władzą tego państwa, od którego ma zapewnione warunki rozwoju narodowościowego, tudzież podstawy materialnego i moralnego dobrobytu. Przy zapewnieniu tych warunków państwo na elemencie, chociaż innoplemieniem, spokojnie polegać może”.

W tych kilku zdaniach zawiera się punkt wyjścia dla jedynej polityki narodowościowej, jaka może być stosowana na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej: polityki równouprawnienia nie tylko ustawowego, ale i faktycznego różnych języków, wyznań i warstw społecznych, polityki autonomii kulturalnej, polityki, któ-

ra w swych dalszych konsekwencjach nie może być niczem innym, jak polityką federalistyczną.

Jakież są czynniki do realizowania przynajmniej wstępnych kroków takiego programu? Są nimi, według Autora, Państwo i autochtoniczne, tutejsze społeczeństwo polskie. Nie omawiając bliżej postulatów autora w dziedzinie działalności aparatu państwowego i miejscowego społeczeństwa, podkreślimy jedynie że Dr. Wysłouch nader słusznie uwydatnia konieczności wysunięcia na pierwszy plan tak w administracji i szkolnictwie jak i w akcji społecznej, przede wszystkim ludzi miejscowych, znających teren jego historię, znających język ludności, jej potrzeby, obyczaje, zalety i wady. Postulat ten ma tem większe znaczenie, że liczba ludzi miejscowych na placówkach urzędowych i społecznych jest u nas nienormalnie szczupła i zmniejsza się ciągle. Opuszczone miejsca zajmują przybysze z innych części Polski, pod względem swych walorów indywidualnych nie zawsze reprezentujących istotne wartości zachodnich lub po-

łudniowych dzielnic. Są to najczęściej ludzie idący za zarobkiem i traktujący nasze ziemie jako swego rodzaju Syberję polską na której należy dorobić się, by umożliwić sobie powrót „do domu”. Ludzie tacy poza momentem osobistej korzyści nie interesują się najczęściej stroną społeczną działalności. Bywa też, że przybysze występują w roli „kulturtregerów”, usiłujących zaszczerpić urządzenia żywcem przeniesione z zachodu i z pogardą traktujących wszystko, co miejscowe. I jedni i drudzy nie są właściwymi ludźmi na właściwych miejscach.

Kończąc podkreślimy, że czynniki samorządowe i społeczne, z których inicjatywy powstała omawiana praca jako część składowa „Pamiętnika Zjazdu Gospodarczego w Oszmianie” z 11.X 1931 r., dobrze się zasłużyły nie tylko rodzinnej Oszmiańszczyźnie, lecz również ziemiom Północno-Wschodnim w ich całości. Oszmiana znalazła się, jak przed wiekami, w awangardzie polskości na wschodzie.

T. Nagurski.

Do akcji zwalczania przez „Klub Włóczęgów Wileńskich” „obchodomanji” (zobacz Nr. 1 „Włóczęgi”) zgłosił akces szereg osób. Czekamy na dalsze zgłoszenia, (Wilno, Przejazd 12).

Włóczęga wśród pism

Sprzymierzeńcy

Podobno skrajności się stykają. Podobno w Reichstagu komuniści głoszą częstokroć razem z hitlerowcami. Są to anomalje, które się tłumaczą pewnymi, towarzyszącymi im specyficznymi warunkami.

Są jednakże wypadki, których wytłumaczyć nie sposób.. Do takich należy wspólność poglądów nacjonalistycznych sfer polskich i litewskich.

Przykłady? Chociażby zasadniczy artykuł „Dziennika Wil.” (Nr. 92 z r. b.) na temat „Co nam dała Litwa”. W artykule tym (niepodpisanym, a więc redakcyjnym) przeprowadza się tezę, że interesy Polski i Litwy współczesnej są sprzeczne, że naród Litewski jest nam obcy, i że wpływ etnograficznej Litwy na Polskę był w wiekach ubiegłych szkodliwy. Na zakończenie „Dziennik” podaje: „Ten wpływ, mimo dzielące nas granice nie ustał jeszcze, otrząsnąć się z niego, przywrócić do pierwotnej czystości charakter narodowy polski—oto nasze zadanie. Nie pożądamy odnowienia ślubów, które nic preez zła nam nie przyniosły. Dziękujemy raczej Litwie, że nas z tych ślubów moralnie i materialnie zwolniła”.

Zdania tego rodzaju nie są w organie wojującego nacjonalizmu polskiego dziwne. Natomiast stanowią niespodziankę odgłosy prasy litewskiej. Prorządowa prasa litewska nader przychylnie potraktowała enuncjację „Dziennika”. Konkluzje cytowanego artykułu zostały uznane za „Otrzeźwienie Polaków”.

Wzruszająca, skądinąd zgodność zdań nacjonalistów dwóch narodów jest objawem symptomatycznym. Świadczy ona o tem, jak bardzo nacjonaści z dwu stron granicy polsko-litewskiej są odlegli od możliwości rozstrzygnięcia skomplikowanych zagadnień narodowościowych w północno-wschodniej części Europy. O ile jednak polscy endecy, tracący zwolna ale stale grunt pod nogami w polskim społeczeństwie, nie mają większego wpływu na bieg wypadków — o tyle taufinicy litewscy występują w imieniu Litwy, są u władzy i realizują wytyczne swej polityki.

Poza momentami nader swoistymi tej polityki, jak naprzykład — papierowa i wiecowa wojna, wypowiedziana historii Litwy, której najbardziej może oryginalnym objawem było skazanie Jagielly na karę śmierci*), działalność nacjonalistów litewskich polega na budzeniu i rozwijaniu wśród litwinów nienawiści względem polskości. Należy przynależać, że w tej dziedzinie dokonano w ciągu kilkunastu lat dużo. Inna rzecz, czy plon, który wszędzie po tym zasiewie, nie stanie się trucizną nie dla przeszłości, jednakże, — lecz dla przyszłości Litwy.

T. N.

*) Fakt autentyczny.

Ton, dwa fałszy i „niepotrzebne” artykuły

No, nareszcie, po długiej przerwie przemówili „pionierzy” „by w przeklinającym blasku słów wasze żony mogły jak pstre klacze krwawić”.

„Krztuś się ruda holoto” ze śmiechu. „Myślicie, poeta duszę wysmarkał w muśliny”? Nie, to przemówił Maśliński i S-ka.

Posłuchajmy. Uwaga: „...mielemy w ustach pełnych marzeń...”. „...kobiet zapach z perfumą kwiatową czy wodą...”. Co za perwersja. Ktoby myślał, tacy jeszcze młodzi a już niemal w każdym wierszu i w każdym artykule roją się „nagie jaskrawe samice”, „przebija chęć „gwałcić dzieci z piskiem!” a po tem wszystkim zarzucają „Wiadomościom Literackim” zaprzatanie psychiki zbiorowej głupawami problemami małżeństw, rozwodów i plotek seksualnych. Kochana młodzieży, odrobinę konsekwencji. W tym samym artykule atakujecie endeków za antysemityzm a „Wiadomościom Literackim” urągacie od żydowskiego mieszczaństwa. Odrobina logiki, umówcie się: niech jeden wymyśla od żydożerców, a inny od żydów. Podajecie jako swoje credo: „Odwroćcie każdą z zasad mieszczańskiego katechizmu, a będziecie mieli nasze wyznanie wiary”. Efektowne zdanie, ale cokolwiek zamało konkretne, zresztą przez samą tylko negację nie stwarza się programu.

Atakujecie „zdychającego rossynanta (??), kapitału”, piętnujecie mieszczańską moralność, walczyście o lepsze jutro inteligencji, bardzo pięknie, ale sam termin „zorganizowanego świata pracy nie wystarcza. Na jakich zasadach zorganizowany ma być ten świat? Praca dla pracy, jak sztuka dla sztuki, jest zbyt starą sztuczką. I trochę mniej zarozumiałości w „podsumowaniach”. Już od dwóch lat Z. P. M. D. w Poznaniu wysuwa podobne projekty tylko właśnie bardziej konkretne, jednak nie wmawia w siebie przedewszystkiem, a następnie i w czytelników, że zmieniła świat cały od endecji i socjalistów zaczynając a na Kurji Rzymskiej i Lidze Narodów kończąc. Trochę więcej krytycyzmu, a wszystko będzie dobrze. No i więcej sportu to się przestana śnić „różowe kobiety, sprzedające usta za wiotkie rajery!”

alfa.

Włóczęga po mieście

Zastaw się, a postaw się

Maksyma powyższa była znana i stosowana, w czasach Rzeczypospolitej szlacheckiej—za króla Sasa i jego poprzedników. Niejeden brzuchaty i wąsaty szlagon wołał zadłużyć ostatnią wioścynę, sprzedać ostatnią szkapę, ba—zostawić u lich, wiarza kosztowną szablę—by dowieść wszystkim że to on „równy wojewodzie”, i że potrafi wystąpić strojnie i zbrojnie, gdy polechtana ambicyjka tego wymaga. Od tych czasów minęło około dwóch setek lat, szlachcice się zmienili gruntownie: zbiednieli, zmądrzeli, czasami nawet nauczyli się pracować. Lecz o dziwo! Ich wady przeszły na inne warstwy społeczne. O ironjo! dzisiaj zasadzie „zostaw się, a postaw się” hołduje kupiec i przemysłowiec, może potomek tego u którego lekko-myślnie zapożyczał się ongiś butny szlachciura. Historia powtarza się.

Przemysł i handel przeżywają czasy bardzo ciężkie. Nie ulega to wątpliwości. Akcja ratowania upadających warsztatów pracy, a jak chcą niektórzy—upadającego systemu gospodarczego, zaprzęta Rząd, społeczeństwo, no i należałoby spodziewać się, samych zainteresowanych. Przedstawicielstwo tych zainteresowanych stanowi istniejąca u nas od kilku lat Izba Przemysłowo-Handlowa. Budżet tej instytucji, mającej za zadanie reorganizację naszego zrujnowanego po wojnie życia gospodarczego, opiera się na dopłatach do świadectw przemysłowych i wynosi ponad 400.000 zł. rocznie. Suma ta jest względnie duża i dużo można byłoby zrobić przy pomocy tych pieniędzy na poszczególnych odcinkach życia gospodarczego. Innego jednakże zdania są, jak widać, władze Izby. Oto w okresie braku kapitałów obrotowych, w czasach, gdy przeinwestowanie jest już uznanym błędem dotychczasowej polityki gospodarczej,—Izba Przemysłowo-Handlowa za swe najpilniejsze zadanie uważa ni mniej, ni więcej—tylko... budowę własnego gmachu! I to nie byle jakiego. Ma się rozumieć, panie tego przy pryncypalnej ulicy, marmury w klatce schodowej, sala „reprezentacyjna” z galerią, meble stylowe i kosztowne dywany w gabinetach dygnitarzy. Miljonik na to wszystko polecał, ale to nic, my pokażemy, na co nas stać!

A tymczasem, pocichutku, personelowi urzędniczemu obcina się pobyry. Podkreślamy wyraz urzędniczemu, bo „wyższe” sfery Izbowe nie będą uczestniczyły w tej przymusowej składce na marmury i dywany. Wyższe sfery muszą „reprezentować”, a to kosztuje.

Panowie z „samorządu gospodarczego”, gdy będziecie za parę dni obchodzili hucznie (oczywiście) i przy szampanie uroczystość zainstalowania się w pałacu przy ul. Mickiewicza, czy wam przypadkiem nie przyjdzie do głowy, że bezrobocie coraz szersze kręgi zatęcza, że zima zagląda w oczy dziesiątków tysięcy rodzin robotniczych, że z pośród was nie jeden jutro może będzie musiał zamknąć swój warsztat?

A jeśli tak nie myślicie, to może dlatego, że wierzycie, że przyjdzie komisarz rządowy i kres położy waszej „szerokiej i owocnej” działalności? Bodaj czy nie czas na to.

Spectator.

W Grenadzie zaraza...

Wobec tego, że tytuł notatki może nasunąć różne domysły—wyjaśniamy z punktu.

Nie chodzi w istocie rzeczy o Grenadę, tylko o koszarę 6-go P. P. Leg. na Antokolu; nie chodzi (nawet) o zarazę, tylko o nieznosny smród (obstawiamy przy tem dobrem, starem, polskiem słowie), który z wymienionych koszar wydobywa się na ulicę Kościuszki. Sprawa się przedstawia tak: od przeszło roku nieczystości kloaczne są z koszar wylwane do rynsztoków ulicznych. Z powodu nieznosnego smrodu, ludność Antokolska zaopatrzyła się w maski przeciwgazowe, gdyż nawet otrząskane z wieloma rzeczami szkapę dorożkarskie—zatrzymują się przed koszarami, przed gęstym powietrzem, przez które przebić się nie mogą. Jak dotychczas tylko arbyony przedostają się bez szwanku. Złośliwi twierdzą, że tylko dla tego, że również nie pachną, a więc kruk krukowi oka nie wykole.

W całej tej historii jedna rzecz jest szczególnie godna zastanowienia. Był jeden Minister Spraw Wewnętrznych co dbał o stan sanitarny miast i wsi i stan ten podniósł względnie wysoko. Jednakże z chwilą, gdy został vice-Ministrem Spraw Wojskowych—widocznie mało interesuje się stanem sanitarnym obiektów wojskowych, skoro istnieją jednak takie koszary w Wilnie. Ludzie się zmieniają, widocznie generał Sławoj również się zmienił. A przydałaby się dobra miotła w rękach zacnego generała od „sanitatorów” dla dania komu należy po grzbiecie za porządku w koszarach antokolskich.

Publiczność swoje Arbon swoje

Przysłowie głosi iż każda bezczelność ma swoje granice. Kłam temu zadaje komunikacja miejska Arbon.

Mimo nieustannych wyrzekań mieszkańców Wilna, ciągłych na ten temat enuncjacji prasowych, dyrekcja Arbonu naigrywa się z przepisów normujących ruch autobusowy w sposób skandaliczny. Notujemy świeżo zaszły wypadek. Pan S. W. po wyjściu z biura w dniu 24 b. m. na przystanku autobusowym róg Królewskiej i placu Katedralnego czekał na wóz linii trzeciej od godz. 14 m. 23 do 14 m. 45. Zainteresowany posterunkowy zakomunikował iż wozy trójki winny chodźć co 7 minut. Protokółu i kary obsłudze spóźnionego wozu Nr. 38.549 nie wymierzył... z niewiadomych powodów!

Podobne wypadki mają miejsce pod gmachem Województwa pod okiem władz! Rozumiemy, iż w dzisiejszych czasach światowego kryzysu i ogólnej nędzy władze są często bezsilne. Czy jednak podobnie bezsilne są nawet wobec dyrekcji Arbonu?

Pamiętamy bowiem iż za czasów Spółdzielni Autobusowej policjanci ciągle spisywali protokoły i wymierzali kary za spóźnienia. Dziś się tego nie robi—i przez palce patrzy się na nieprzestrzeganie przepisów o komunikacji Dłaczego? Czas już najwyższy by władze nadzorcze wglądnęły w całą tę sprawę naigrywania się z przepisów prawnych i nieszczęsnej ludności Wilna.

Włóczęga za literatami

Wileński Parnas

Bywałem na śródach literackich wileńskiego podparnasia. Ciężko było dowiedzieć się, co właściwie ci ludzie tworzą i jak tworzą.

Limanowski od środy do środy zaczynał, niczem Rydel, „o wpływie Skandynawów i Wikingów na Wileńszczyznę”, a kończył o „świętym Franciszku z Assyżu”.

Romer-Ochenkowska najchętniej nic nie mówiła, co zresztą b. dobrze o niej świadczy, bo przecież milczenie jest złotem. Odnosiłem wrażenie, że coś knuje, że zbiera się do wybuchu, że może wreszcie coś popełni po długich (o jakże długich) cierpieniach...

Leczycki, skwaszony niedogodzeniem wileńskiej publiczności „Posłem i Julją”, przybierał pozę jednego z bohaterów tej sztuki, któremu przeznaczył w myśl cennej zasady p. Romer, tylko 4 słowa do powiedzenia w całej komedyjce i... filozoficznie rozmyślał.

Wyrwany raz z kontemplacji nad tem, które to miasto uszczęśliwić swoją komedijką, tak dalece był duchem na scenie, że zerwał się i krzyknął: „nie piję, nie piję”,—zupełnie jak jego bohater z „Posła i Julji”—akurat 4 słowa. Myślano, że się faktycznie upił.

Dobaczewska układała już w myśli nową powieść o... kłopotach, ale nie pani Niusi, tylko Hulewicza—z radjem.

Hulewicz ze swej strony patrzył na pułkownika Dobaczewskiego (który wogóle nic nie napisał i nic chyba już nie napisze—tak przynajmniej wygląda pocziwie, chociaż—kto wie...), ucinające sobie zlekka drzemkę i zastanawiał się: „poco właściwie on tu chodzi?... Wszędzie te pułkowniki”.

* * *

Ale żadna środa nic mi jeszcze nie dała. Zacząłem śledzić literatów. Ucho mam dobre (ze środy poświęconej Mo-niuszce musiałem uciekać)—a nuż coś podsłucham.

* * *

Ide pod studio wileńskiego radja.

Baja...

Nudzę się (p. Romer opowiada o wizycie u harcerzy).

Oczywiście z psicą — pomyślałem.

Nudzę się. Może coś zagrają...

Akurat! — Przerwa.

Po przerwie, a jakże, grają... na patefonie szlagiery pamiętające jeszcze ś. p. Noego i jego gołębicę.

Znowu baja (tym razem, że... cukier krzepi).

Znowu baja. Potem znów na patefonie grają jak to Kolumb nadawał królowej Izabeli (przez radio oczywiście) rumbę.

Cyt. Kryję się za węgiel. Wychodzi Hulewicz z Byrskim.

Hulewicz: „Skladam na pana robotę; muszę skończyć

„Miasto pod chmurami“, — czeka na to Wilno już 3 lata“.

No, nareszcie, — myślę i wracam do miasta.

Ki lichol! Na Mickiewicza, widzę, pędzi sam Hulewicz.

Podążam za nim truchcikiem. Heureka! — Sam ze sobą gada. — Nadsluchuję

Hulewicz: „nareszcie przyjechał!“ (dowiedziałem się, że to jakiś cudziemski literat).

Dalej już niestety interesującego monologu pana dyrektora od radja nie słyszałem, bo mnie nie chcieli za nim wpuszczać do George'a. Mówił mi nazajutrz kelner (też literat i władza językami), że p. Hulewicz proponował obcemu gościowi w szatni: „a może pan coś mojego przetłumaczyć?“ — (Ciekawe co?).

Ponieważ zbyt to propozycję milczeniem, mój przyjaciel (oczywiście kelner, nie ten cudzoziemiec) zaproponował p. Witoldowi tłumaczenie na 3 języki, ale zbyt go dyrektor równie milczeniem. Literat-kenner wziął to za dobrą monetę i tłumaczy w wolnych chwilach na włoski, francuski i angielski całokształt twórczości naszego żadnego sławy i rozgłosu poety. Mówił mi dziś, że niedługo skończy. Zaprojektował nawet okładkę. Śliczna. Dwa słupy antenowe, pajęczyna i... pajak (z twarzą autora) wszystko misternie wisi nad miastem pod chmurami. Warto się tym tłumaczem zainteresować, jeżeli już

niego osobą, to jego trudami nad uczynieniem sławy światowej z naszego miejscowego bożka. Byłoby to pierwsze, przedśmierne, wielkie, trytomikowe, zbiorowe wydanie dzieł Witolda Hulewicza. Może mu Zw. Literatów Wileńskich zrobić „niespodziankę“ na gwiazdkę, albo imieniny.

Wlokę się po Wielkiej. Pędzi Leczycki. Dokąd? Do „Słowa“. Wychodzą z Mackiewiczem.

Leczycki: „Jedziemy na premierę do Grodna“.

Ja oczywiście za nimi — do Grodna.

Grodno wre. Afisze jak domy: „Pan poseł i Julia“. Premiera. Teatr pełny (nic dziwnego, — reklama jest dźwięnią handlu). Ciężka atmosfera. Publiczność się poci. Autorzy jeszcze bardziej. Aktorzy starają się ratować sztukę. Napróżno! Kurtyna. Białe gorsy autorów świecą się z honorowej łoży, Publiczność milczy. Aktorzy klaszczą autorom (poczciniwini!). Napróżno! Publiczność wstaje z krzesel. Gwizdów nie słychać. Cóż, — myślę, — Grodno się na genjuszach nie poznało. Wtem jakby mi kto dał w łeb: „jabym llepi napisała“ — mówi tłuste babsko (ma sklep pończoch na Dominikańskiej). Chciałem ją zbesztać, ale bałem się, że mi się cały teatr za zepsuty wieczór na głowę zwali. Nie wiem jak było z kasą (były 3 przedstawienia). Dyrektor powiedział: „do trzech razy sztuka“... z czwartego przedstawienia zrezygnował i wystawił „Niespodziankę“ prawdziwą, już nie Mackiewicz i Leczyckiego, ale Rostworowskiego.

Werki. Ide brzegiem. Patrzę, — siedzi Dobaczewski. Co jest? — Piszę... Podchodzę, zaglądam przez ramię: Teczka. Dużo, dużo papieru. Na wierzchu kartka. Wielkimi literami napisano: „Wpływ poezji na sklerozę mózgu“. (Studjum patologiczno-psychologiczne nad wileńskim podparnaniem). Pomyślałem: ten im dopiero dał No, chwała Bogu, Wilno zdobyło się wreszcie na krytykę.

beobe.

Włóczęga borem, lasem, wodą

Do Rygi, Lipawy, Gdańska i Gdyni

Nieprzewidziane są wyroki losu. W roku zeszłym projektowaliśmy wyprawę wodną Wilno — Gdańsk — Gdynia, zaś z Gdyni do Lipawy i Rygi. Dojechalibyśmy wówczas tylko do Gdańska i Gdyni, zaś tytułem pocieszenia — z Gdyni do Elbląga, w okolicach którego skapani po-sztormową falą — zginęlibyśmy „corps et bien“ w odmętach Bałtyckiej mielizny, by po 3 godzinach mozolnej pracy wyciągnąć na zbawczy brzeg nasze „corps et biens“ — wszystko gruntownie przemoczone w morskiej wodzie i niezdatne do dalszej podróży.

W roku bieżącym trzeba było wykonać pozostałą część programu. Nudnem byłoby jednak przebywanie tej samej trasy — Niemnem — Czarną Hańczą — kanałem Augustowskim — Biebrzą — Narwią i Wisłą. Poszliśmy tedy po rozum do głowy, by jechać najprostrzą drogą — Wilją rodzimą i Niemnem — do Kłajpedy, a stamtąd morzem do łotewskich portów. Litewski Komitet w Wilnie nie dał jednakże przepustki na taką podróż, bojąc się oczywiście, by włóczęgów nie spotkała na wodach litewskich jakaś przygoda niemiła: by nie zjadły ich rekiny, lub nie zatopiły wątej łodzi ogromne wieloryby. Swą troskliwość litwini wileńscy posunęli tak daleko, że jeden z nich pisał na temat przewidywanej wyprawy włóczęgów obszernie korespondencje do pism kowieńskich. ostrzegając by broń Boże nie wydano pozwolenia na wjazd takim, co niewinne swe dusze na niebezpieczeństwa narażają,

Cóż robić! Włóczędzy powiedzieli sobie: chroń nas, o Neptunie, od przyjaciół, bo od nieprzyjaciół sami się obrońmy i pojechali... koleją. Przyjechali do Rygi, przyjechali do Lipawy. Pokreślił się tu i tam — Ostatni z Motylkiem (oni to byli — nikt inny) i jednym głosem orzekli. „puchy, jak w teatrze na Pohulance“. W obydwu portach — po jednym statku przy nabrzeżach wyładunkowych. Łotysze chodzą źli, z nosem na kwintę i wymyślają: w Rydze bolszewikom za niewykonywanie podpisanej umowy handlowej, — w Lipawie — Litwinom, za niedopuszczenie przez swe terytorjum tranzytu

koleją Romny — Lipawa — (zupełnie tak, jak dyr. Szpakiewicz wymyśla na „środach“ publiczności wileńskiej za niechodzenie do teatrów).

Smutno zrobiło się włóczęgom po tej podróży na Łotwę. Na pociechę — lu do Gdańska i Gdyni, o której Kazio Leczycki onże Hydra — pisał, że stanowi akumulator optymizmu, odmładza, ożywia, prawie jak d-r. Woronow.

Hydra nie błagował, tym razem. W Gdyni i na Helu włóczędzy zastali wszystko jak należy: Moc wykańczanych budowli. Port pełen statków ze wszystkich krańców świata. Na redzie liczne cargos czekające kolei przyładowaniu. Tłumy ludzi na plażach, tłumy w sklepach, restauracjach i dancingach. Gdzież kryzys? „Pereat, niech ginie, właśnie topimy go w morzu“, ryknęło 20.000 legionistów i peowiaków, przybyłych na zjazd do Gdyni. „Dobra jest — zadławcie go w reszcie kraju“ — orzekł dobrodusznie Walery Sławek na pożegnanie kilkudziesięciu dudniących w stronę Gdańska pociągów ze zjazdowiczami.

Włóczędzy zajrzeli również i do Gdańska. Myśleli, na podstawie wiadomości z I.K.C., że gdzieś jak gdzieś, a w Gdańsku spotkają się i z rekinami i z wielorybami, pływającymi w hitlerowskim sosie. Chodzą, patrzą, — a tu ludzie tacy sami jak wszędzie, uprzejmi, grzeczni. W porcie ruch, w sklepach mniej ludzi, niż w Gdyni, ale nienajgorzej. Chodzą też i hitlerowcy (podobno jest ich 4000, a może i więcej), ale coż mają robić, jeśli im zapłacono właśnie za to chodzenie w mundurach. Trudno, czasy są ciężkie i nawet takim paskudnym zarobkiem gardzić nie można.

„Nie trzeba czytać gazet“ — rzekli włóczędzy, — wracając do domu, — nie trzeba — bo łąg — zaszemrała fala Bałtyku, przelewająca się przez betonowe łamacze. Trzeba wszystko zobaczyć na własne oczy, trzeba być włóczęgą — wystukiwać pociąg pośpieszny, unoszący podróżników w kierunku Tczewa.

Ostatni.

Łodzią przez Pińszczyznę i Nowogródzczyznę

W ciągu ubiegłego lata odbyła się wodna włóczęga po Polesiu i Nowogródzczyźnie. Łódź kanadyjska „Bockfish II”, wyruszywszy z Brześcia Litewskiego w dniu 31 sierpnia b. r., w składzie załogi: T. Nagurskiego (Ostatni) i M. Pogorzelskiego, przebyła w ciągu 9 dni trasę około 600 klm. do stacji Mosty na Niemnie. Trasa wyprawy biegła przez następujące rzeki i kanały: Bug (przy ujściu Muchawca); Muchawiec cały, w górę tej rzeki via Żabinka, Kobryń, Horodec; kanał Królewski, Pina (z biegiem) — via Pińsk, ku ujściu Jasiółdy; Jasiółdą (w górę) przez Horodyszczce Poleskie do połączenia z kanałem Ogińskiego; kanałem Ogińskiego przez Telechany, jeziora Wołchowskie i Wygonowskie — do Szczary; Szczarą (z biegiem rzeki) przez Słonim — do ujścia do Niemna; Niemnem (z biegiem rzeki) do stacji kolej. Mosty. Ładowanie w Mostach nastąpiło w dniu 8 września. Żegluga odbywała się w warunkach naogół pomyślnych. Najgorszą część trasy stanowił kanał Królewski, zarośnięty trawą, i w środkowej swej części nieposiadający dostatecznej ilości wody. Natomiast rzeki oraz kanał Ogińskiego były w stanie dobrym. Rzeki i kanał Królewski są regulowane systemem jazów. Kanał Ogińskiego natomiast — posiada 10 szluz, b. dobrze utrzymanych.

Wyprawa była zaopatrzona w dubeltówkę i pozwolenia na polowanie od poszczególnych właścicieli terenów. Strzelano tylko tyle, ile trzeba było dla własnego wyżywienia. Ogółem padło 7 kaczek i 1 nur (perkoz). Ptactwa wodnego było mnóstwo — prawie tyle, co komarów. Na Szczarze wódzdzę mijali żeremia bobrowe, pilnie ochraniane przez władzę, przejętą cywilizację ludzką i... regulują ruch na Szczarze wzorem wileńskich policjantów. Gdy „Backfish” skakał z przeszło metrowej wysokości na jazie, jeden taki bober uprzejmie machał w kierunku rozdziawionych ze zrozumiałego zdziwienia włóczęgów — świeżo odpitowaną gałęzią olszynyl... I jedź tu człeku w dziki, wysłouchowaty kraj, — w przekonaniu, że będziesz na puszczyli... Okaze się, że dzikimi są tylko poleśnicy, przebywający w Wilnie i przez snobizm, zapewne udający tarzanów. Polesie — to prawie Wersal.

Widzieliśmy też rzecz na Polesiu zwyczajną: żubrów polujących na łosie, no ale o tem — innym razem — przy opisie szczegółowym włóczęgi.

Jeden z nas.

Dwojaka włóczęga

Może nie wszyscy wiedzą, że akademicki włóczęga wileński uprawia dwie rzeczy: włóczęgę duchową i włóczęgę fizyczną. O pierwszej kiedyś indziej — o drugiej teraz.

Włóczęga fizyczna według naszego rozumienia polega na jaknajczęstszym obcowaniu z przyrodą. Obcowanie to uskuteczniamy poprostu przez najzwyczajniejsze chodzenie — i to wszystko. Reszta sama przychodzi. Bo jakież sens komuś wmawiać, że np. Wileńszczyzna jest piękna, że Wilja malownicza, że jez. Trockie i Narocz są godne zwiedzenia, że wiosnę i jesień trzeba oglądać w lesie, w polu, a nie w Bernardynce i ogródku u Sztrala, że przyrody nie kochać trudno, że na włóczędze dopiero zdrowo się wypoczywa i t. d. Ten kto pójdzie raz i drugi sam się przekona.

Ze tego wielu zupełnie nie rozumie, mamy moc przykładać. Np. po wsiach na noclegach lub posiłkach chłopcy pytają nas ile nam „za to płacą?” „Za co?” — pytamy. „Toż chiba nicht zadarmo tak szwendać się nie będzie!” — Trudno wytłumaczyć, że jesteśmy w inny sposób wynagradzani. Ale często pytają koledzy z Almae Matris „Co za sens tak chodzić?” — W tym wypadku niekiedy trudniej jeszcze wytłumaczyć im „ten sens”, niż wieśniakowi, który pyta, ile złotych wypłacają nam dziennie za włóczęgę. Każdy z nas stosuje włóczęgę fizyczną w różnym zakresie i w granicach swoich możliwości. Zmuszać kogoś do włóczenia się — to absurd. Włóczęga chce — więc idzie sam. Włóczyć się — to nie oznacza bynajmniej naukowego i zorganizowanego zwiedzania czegoś i oceniania. Niema i nie może być tutaj żadnego precyzyjnego planu i regularności.

Rozwijający się obecnie pomyślnie sport narciarski i wodny, zwłaszcza od kilku zaledwie lat sport turystyczno-kajakowy, jest wyrazem tego, że coraz więcej jednostek smakuje w przebywaniu — nie w zamkniętych lokalach, lub na zwirowanej alei miejskiego ogrodu, ale w otoczeniu przyrody. I o jest równocześnie potwierdzeniem żywotności, podkreślane go zawsze w naszym statucie znaczenia włóczęgi fizycznej.

Głodomór.

Włóczęga na Narocz

Dnia 3-go sierpnia b. r. o północy po ulewie, piorunach i grzmotach, przy nieustannych prawie błyskach t. zw. małanki — wyruszyło z klubu 4-ch drabów z tłumokami, Pogoda do luzu, ale postanowiliśmy jechać. Za chwilę 4-ch nieprzekładnych pasażerów gospodarowało w przedziale wagonu III klasy, jak u siebie w domu, opychając się przytem zielonemi ogórkami. — Co było w Łyntupach z sennym kasjerem i dyplomowaną „Wygą” („Wygą” — to nie żaden włóczęga, tylko tódż kanadyjska) — lepiej nie wspominać. Wystarczy powiedzieć, że ów „nienormalno-torowy” dygnitarz robił niezrozumiałe szykany. Pan ten, mimo, że siedział bezczynnie, nie chciał zafrachtować łodzi, gdyż było „zaledwie” 20 minut do odejścia pociągu. — Uparł się i ani rusz, mimo próśb i gróźb włóczęgów, którzy tracili dzięki p. kasjerowi całą dobę. Była to w dodatku przesyłka pośpieszna! Wcale rekordowy pośpiech.

Dobę biwakowaliśmy nad wzburzonym silnie jeziorem koło wsi Kupy pod namiotem jeszcze bez „Wygę”.

Jezioro jest piękne. Przepiękne było przy zachodzie słońca, po burzy z oberwaniem się chmury, w dniu 5 sierpnia. Opisać tego nie sposób. Należy to wiazić.

Po całodziennym włóczeniu po jeziorze dnia 5-go sierpnia burza zagnana nas do schroniska, skąd dnia następnego rozpoczęliśmy spływ.

Naroczanka od błotnistej początku aż po kamieniste ujście do Wilji oczywiście prześliczna. Szczegółowy opis zostawiamy znawcom fauny i flory. Górny bieg Wilji jest piękny, bardziej dziki, mało osiedli ludzkich. Tam widzieliśmy po raz pierwszy na Wilji czarnego bociana.

Spływaliśmy w ostrem tempie, bowiem nie mieliśmy ani jednego dnia bez deszczu. W chwilach słonecznych przestony aparatów fotograficznych trzaskały jak kulomioty. Na włóczęgach wodnych deszcz — to nieprzyjemna rzecz. Jedno udogodnienie — nie potrzebowaliśmy się myć, z którego to naturalnego dobrodziejstwa nie korzystało dwóch z pośród nas t. zw. wersalczyków.

Ostatni nocleg w Markunach przed Michaliszkami. Wyjeżdżamy o 4-ę rano. W południe deszcz rozpadał się na dobre. Decydujemy się na finiszowe tempo i tegoż dnia o godz. 19 stanęliśmy w A. Z. S-je, przebywając trasę około 115 km.

Hallo! Wioślarze! Na porządnej łodzi, jak np. kanadyjskiej „Wydzę” z Narocza do Wilna spłynąć można w ciągu trzech dni.

Załoga „Wygę”.

Włóczęga o ideję

Z notatnika nauczyciela prowincjonalnego

Pewnej nocy przyśnił mi się piękny sen. Zapisuję go we „Włóczędze”. Społeczeństwo nie wie, o czem śni prowincjonalny nauczyciel. Sny zaś mają swoje własne prawa, swoje drogi i swoje swobody. Nie może ich podporządkować świadomej literze prawa ani p. Minister Oświaty, ani p. Kurator Okręgu Szkolnego, ani p. Naczelnik wydziału, ani p. Dyrektor, ani wreszcie p. kolega Nauczyciel.

Każdy może mieć i opowiadać swoje sny. Mój sen był mało prawdopodobny, może zlekka naiwny, sielankowy, taki zupełnie prowincjonalny sen! Piękny był jednak...

Posłuchajcie.

Śniło mi się, że dzieci przychodzą do szkoły chętnie. Że na wycieczki śpieszą opowiedzieć nauczycielowi co im się przytrafiło od wczorajszego popołudnia do dzisiejszego ranka. Są umyte, mają czystą bieliznę i ubranie i mocne, wyczyszczone, niepodarte obuwie. Każde z nich jadło niewybredne lecz zdrowe śniadanie. Niema więc policzków wybladłych i zmęczonych,

podsińcanych oczu. W domu nie posyłano ich po wódkę, nie darzono wyzwiskami, nie bito tępo i niemilosierdzie, ale także nie pieszczono nadmiernie. W domu również nie uczono tych dzieci nienawidzić Żydów i inowierców. W wyborze więc kolegów i przyjaciół mają swobodę.

Śniło mi się, że nauczyciele również przychodzą do Szkoły chętnie, że się dziećmi interesują, że dzieci rozumieją, że dzieci lubią. Są umyści, porządnie ubrani, odpowiednio odżywieni i nieprzepracowani; niema więc policzków wybladłych i zmęczonych, podsińcanych oczu ani rozgoryczonych, zrezygnowanych lub złośliwych spojrzeń. Są to ludzie znający teren, jako historję, jego aspirację i szanujący lokalne odrębności. Są to żywi fachowcy-pedagodzy. Swój przedmiot znają i lubią narówni z dziećmi — toteż niema konfliktów pomiędzy zamiłowaniami, a jest mądre przystosowanie, wyrozumienie i konsekwencja. Lekcje są uczciwe, spokojne, ani rozleniwione, ani efektowne, pozbawione wszelkich tendencji stronnictwowych.

Stosunek do Dyrektora jest szczerzy i ludzki. Niema w słowniku podręcznych wyrazów: „płasczyć się, bać się, donosić“.

Śniło mi się, że Dyrektor, człowiek normalny, rozumny i zrównoważony pracuje chętnie, że się dziećmi, nauczycielstwem i Szkołą interesuje i jest życzliwie usposobiony względem ludzi.

Śniło mi się, że oczywiście pod takim kierownictwem praca w Szkole jest rozsądna, spokojna i wydajna. Niema mowy o przykrych, niesprawiedliwych i bolesnych konfliktach, jest natomiast niezakłamaný nastrój do „radosnej pracy“.

Śniło mi się, że społeczeństwo małomiasteczkowe Szkołę szanuje.

Śniło mi się, że matura (skoro być musi) w takiej szkole przechodzi spokojnie, normalnie i uczciwie. Niema więc żadnych uwłaczających wersyj wobec polskiej instytucji państwowo-wychowawczej i wobec jej przedstawicieli.

Śniło mi się... dużo mi się śniło.

Szkoda, że sen ten przysnął. Był piękny i choć nieprawdopodobny — ale może odpowiedni do zanotowania „we włóczędze o ideję“.

Włóczęga wśród akademików

Państwo ponurej anegdoty

Jest niem niezaprzecalnie zarząd, administracja, obsługa i 100 mieszkańców Domu Akademickiego na Górze Bouffalowej. Proszę nie myśleć iż z chwilą wyjścia rozporządzenia o niewpuszczaniu doń kobiet, jest wszystko w porządku: Kwitnie tam rozpusta, a tem jeszcze wstrętniejsza — że umysłowa.

Zbiorowisko 100 młodych ludzi nie dba zupełnie o minimum potrzeb kulturalnych — jakim winna być czytelnia. Sprawy te powierzono zarządowi, który pastwił się perwersyjnie cały rok nad mieszkańcami, każąc im przeważnie czytać antysemityczne „Hasło Podwawelskie“. Ten pokarm duchowy służy widocznie dobrze lokatorom, gdyż interwencję w tej sprawie uważają za zbyteczną. Mimo licznych pokątnych urągania na brak raia, niezdołoby się na założenie choćby detektorka, z którego możnaby korzystać.

Niestychany hałas panujący tu cały Boży dzionek, niezakłócony jest nawet najłżejszym momentem ciszy. Od zewnątrz wozy ciężarowe oraz chłopskie, które upodobały sobie Górę Bouffalową specjalnie przejeżdżając bez przerwy mało po kocich, po tygrysiach łbach pod oknami, stwarzają rumor niedozniesienia, a od wewnątrz nie lepiej — cienkie ściany pokoiów nie stanowią bynajmniej przeszkody dla rozchodzenia się głosu, i w tej akustycznej kamerze wibrują piskliwe tony wyjących konwentowiczów, krzyki pierwszorocznych dyszkantów, oraz przepite basy ochrypłych sobótkarzy — wszystko to przerywane jest gęstą salwą zamykanych drzwi.

Zobaczmy jak przedstawiają się warunki higieniczne w domu, którego 70 proc. mieszkańców stanowią medycy. O centralnem ogrzewaniu Domu wiedzą bodaj wszyscy na mieście z wyjątkiem jego lokatorów, którzy mają poważne dane po temu, by o niem wątpić. Fryzjera trudno znaleźć nawet w przeznaczonych mu godzinach urzędowania, lecz zato golenie tanie, bo tylko 25 gr. wraz z opluciem.

Naskutek niemożności otwierania okien w pokojach

z powodu wspomnianych wozów ciężarowych, atmosfera w mieszkaniach jest tak przykra, że niemal każdego nieprzygotowanego na to gościa, rzuca o ziemię. Na korytarzach sprawa ta przedstawia się lepiej tylko w godzinach południowych. Natomiast rano i wieczorem snują się tu kłęby gryzącego dymu i duszącego czadu, wydobywającego się z fatalnie zbudowanej kuchni gotującej wodę na herbatę. Dalsze urągania przeciw najelementarniejszym zasadom higieny: po wieczornej gimnastyce na sali, sportowcy zgrzani, brudni, spoceni, zmuszeni są iść spać bez kąpiei gdyż niewiadomo z jakich przyczyn, wody do natrysków po gimnastyce nie nagrzewają.

Jeszcze jedna obserwacja: zajrzyjmy dyskretnie do pewnej ubikacji o wyraźnem zupełnie przeznaczeniu, O czem się przekonamy? Że — o zgrozo! — publiczny ustęp na Łukiszkach byłby tu wzorem czystości, ładu i porządku!

Dom Akademicki pozostaje pod opieką władz uniwersyteckich; a szkoda, bo i policja miała by tu coś do powiedzenia.

Savonarola.

W ogonku przed okienkiem Kwestury

Rozważania. Studja na wydziale lekarskim trwają 6 lat. Każdy rok ma 3 trymestry; jest zatem 18 trymestrów. Opłacać każdy trymestr przedstawiamy 2 rodowody, więc ogółem 36 rodowodów. W każdym rodowodzie wypełniamy rubryki jak: ścisła data urodzenia, wyznanie, narodowość, imiona rodziców i tem podobne, przeważnie stałe dane. Na medycynie jest 600 studentów, czyli 21.600 dat urodzenia imion ojców, matek, narodowości i wyznań mają do przestudjowania pp. dziekanowie i rady wydziałowe. Może nie? Jeśli nie, to poco my mamy tyle razy jeuno i to samo przepisywać? Czyż obie strony nie mają bardziej interesujących zajęć?

Walka z bezrobociem nie jest wyłącznie walką o dostarczenie chleba rzeszom pracowników. Jest również walką z lenistwem organizatorów naszego życia gospodarczego, z ich rutyną, tępotą, brakiem zmysłu praktycznego.

W walce z bezrobociem należy rozszerzyć front: dotychczas walczy tylko Rząd, samorządy terytorjalne i garstka społeczeństwa. Gdzie reszta społeczeństwa, gdzie przemysł, handel i rzemiosło?

Warunki prenumeraty: za 12 numerów — 5 zł.

Cena ogłoszeń: 1/1 strony — 50 zł., 1/2 strony — 30 zł., 1/4 strony — 20 zł., 1/8 strony — 15 zł., z zastrzeżeniem miejsca o 25 proc. drożej.

Wydawca: Klub Włóczęgów senjorów.

Odpowiedzialny redaktor Stanisław Hermanowicz.

Adres Redakcji i Administracji: Wilno, ul. Przejazd 12.

Tow. Wyd. „POGOŃ“. Druk. „PAX“ — Wilno, ul. Św. Ignacego Nr. 5. Tel. 8—93.

**Sport
odświeża
umysł
krzepi
ciało**

**trenuj
w**

Akademickim Związku Sportowym

obszerna sala

gorące natyski

nowoczesne korty

wygodna przystań

narciarstwo

wioślarka regatowa

lekka atletyka

boks

gry ruchowe

lawn tenis

racjonalna gimnastyka

turystyka wodna

16980
27.8.77

60-

**PODWYŻSZO-
NO OPŁATY
-- OBNIŻONO
-- DOTACJE**

**POPIERAJ
IMPREZY**

**X TYGODNIA
AKADEMIKA**

**W DNIACH
5-11
LISTOPADA**